

TEKA

czasopismo poświęcone sprawom młodzieży szkół średnich i wyższych

wydawane przez

młodzież akademicka

Wychodzi 1. każdego miesiąca.

Od niewoli Moskiewskiej, Austryackiej, Pruskiej, Wybaw nas Panie!

Adam Mickiewicz: »Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego«.

1849-1899

Odezwa

komitetu zawiązanego w celu sprowadzenia zwłok
Juliusza Słowackiego do Ojczyzny.

Pięćdziesiąt lat dobiegło, jak na obcej ziemi umarł poeta najdoskonalszy, zgasł duch może najgorętszy, jakiego Polska wydała. Był sternikiem duchami napełnionej łodzi; na zdartych w wicherze kul sztandarach »jak pies się położył«; z lśniącego pucharu swego serca pił do narodu swoim duchem, krwią swą i zdrowiem; niechcąc uwierzyć w śmierć Ojczyzny, na skrzydłach pieśni w błękit ją unosił — aż tam będą, kędy Pan Bóg świeci i puszczał, pewien, że jeśli żywą, to polecą — a kruszyło się w nim serce mętne, bo on nikogo nie miał ze szlache-tych i próżno słowa wyrzucał namiętne, pełne łez i krwi i błyskawic świetnych; co dnia myśl jedną rozpaczę zaczynał, tą myślą modlił się — i nią przeklinał — i tak cicho odleciał, jak duch co odlata... Umarł opuszczony i smutny i leży w kraju obcym — bez sławy za życia, bez czci po śmierci. Dzisiaj Bóg widzi jego białe kości w straż nie oddane kolumnowym czołom — chociaż on także miał Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna, a która także kochać go powinna...

Czyż już dzisiaj tak mało miejsca na naszej biednej ziemi, że nie zdołamy z niej wygarnąć mogiły dla tego, który swą duszę i życie dla tej ziemi poświęcił, blaskiem ją swym opromieniował? O! czyż już tacy nędzni jesteśmy, że się na grosz zdobyć nie możemy, by wznieść grobowiec dla Króla-Ducha, który nas wiódł

Biblioteka Jagiellońska



1003046962

gdzie Bóg — w bezmiar, wszędzie, w dzień jako słońce, w noc jako żar! O zaiste! już by też była ta Ojczyzna biedna, gdyby dla niego zginionego młodo łoż nie znalazła — ni listka wawrzynu na wieniec, ni grudki ziemi rodzinnej na grób, ni grosza na sprowadzenie zwłok jego świętych do kraju, który tak ukochał!

Rodacy! dajmy jeszcze jeden dowód, że naród nasz umie czcić swoich wielkich — pokażmy, że płomienny testament Króla-Ducha głęboko nam się wrył w serca; zapoznanemu i nieuczczonemu za życia oddajmy przynajmniej po śmierci to, na co sobie u nas zasłużył — nie skąpmy grosza, sprowadźmy do Ojczyzny jego popioły, które tam w grobie obcym za ziemią swoją tęsknić jeszcze muszą! Niechże na ten wzniosły cel w jubileuszowym tym roku obficie składki popłyną; niechże się przekona duch twórcy *Kordyana* i *Anhellego* i *Księdza Marka*, iżśmy o nim nie zapomnieli, iż nie nadarmo za życia wyrzucał swe błyskawice! Każdy najdrobniejszy nawet datek będzie dowodem żywotności narodu i naszych ideałów — i nabierze wielkiej wagi ze względu na zamiar, w jakim się go złoży. Od was Rodacy, od Waszej ofiarności teraz tylko zależy, by jak najprędzej nadeszła chwila, gdy będzie można myśl w łonie młodzieży powstałą w czyn zamienić i w prastarym grodzie podwawelskim jeden jeszcze wzniesć sławy grobowiec. Sobie samym przez to największą cześć wyrządzimy, bo On nie jest niczem swej Ojczyźnie dłużny, chociaż mieć będzie mogiłę — z jałmużny.

W Krakowie w lipcu 1899.

Za Komitet:

Adam Belcikowski, przewodniczący.

Kazimierz Bartoszewicz, Odo Bujwid, Zdzisław Czaplicki, Dr. Zofia Daszyńska-Golińska, Józef Kotarbiński, Seweryn Krzemieniewski, Dr. Ryszard Kunicki, Adam Siedlecki, Jan Stanisławski, Włodzimierz Tetmajer. Dr. Jerzy Żuławski.

Królu-Duchu nieśmiertelnej Pieśni!
 Zanim pójdziem my wszyscy boleśni
 Wydrzeć Ciało twe grobowej cieśni;
 Niech nas Duch twój podźwignie i ruszy,
 Niech starego człowieka w nas skruszy,
 Niech widomie w nas się ucieleśni
 Twój Duch, Królu nieśmiertelnej Pieśni!

Bo inaczej te duchy niegodne
 U twojego grobowca paść twarzą;
 Bo inaczej te ręce niegodne
 Łamać grobu twojego pieczęcie,
 Którym Anioł Ojczyzny jest strażą;
 Bo inaczej te usta niegodne
 Wyrzec święte wskrzeszenia zaklęcie!

Otwórz drogi Świętemu Duchowi,
 Który w tobie ruch i trud miał wieczny:
 Niechaj zleci Gołąb Słowa mleczny,
 Niechaj dusze stare nam odnowi
 Cały naród z ducha niech wysłowi!

Wtenczas kamień odwalim grobowy
 Twoim duchem natchnięci i żalem;
 Położymy przed Tobą się czołem,
 Twego Ciała poświętym popiołem
 Posypiemy grzeszne nasze głowy,
 I poniesiem, wśród hymnów radości,
 Narodowe relikwie — Twe kości
 Do świętego miasta — Jeruzalem!



Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nie oddane kolumnowym czołom.

Jul. Słowacki. (Hymn).

Są chwile w życiu każdego narodu, w których głuchną waśnie, ustają wrzawy powodowane interesami stronnictw, cichną walki partykularne; są chwile, w których serce całego narodu jednoczy się, skupia w jednej myśli, w jednym pragnieniu... Są to słoneczne chwile ducha, wyżyn cichej ekstazy, niemej tęsknoty...

W takiej chwili każdy szept cyniczny, każde zdanie zbyt racjonalizmem przesiąknięte staje się świętokradztwem i prawie zbrodnią narodową...

Cóż u nas?... Ludzie, którym dla jakichś tam przyczyn osobistych nie podoba się, że grono niedowarzonych »studentów« związało się w komitet mający propagować myśl sprowadzania zwłok największego naszego poety Juliusza Słowackiego do kraju, którym się nie podoba ta olbrzymia tęsknota, z jaką dzisiejsze młode pokolenie zwraca się ku poezji Juliusza: — nie wzdrygają się nawet przed wstrętnymi oszczerstwami miotanemi na całe społeczeństwo galicyjskie, a wygłaszanemi z patetycznem oburzeniem i teatralnym lamentem...

My czekamy z gorącym niepokojem chwili powrotu poety chcemy mu wynagrodzić półwiekowe zapomnienie o nim po śmierci Jego, chcemy mu wynagrodzić gorycze życia i ustawicznej za Ojczyznę tęsknoty, tej krwawej nostalgii, która go pochłonęła w kwiecie wieku i twórczości.

I zawiązał się komitet cichy... najcichszy jaki może kiedykolwiek istniał u nas; lada prywatna uroczystość, lada jubileusz cieszyły się większym rozgłosem w kraju niż sprawa, której ów komitet służył. Chodziło głównie o zaszczepienie w narodzie idei sprowadzenia zwłok wieszczą do kraju i o przyspieszenie tej uroczystej chwili o ile możności jak najprędzej.

Komitet wydał odezwę do kraju, w której powołując się na zasługi wieszczą, na jego testament, żąda sprowadzenia jego zwłok.

Odezwa ta wpływu wielkiego na ogół nie wywarła. Wobec apatyi i przeciągania się sprawy komitet nie mógł nawet urządzić nabożeństwa w pięćdziesiątą rocznicę śmierci poety, przypadającą w tym roku. Jedynie młodzież zawsze w takich sprawach gorętsza, przygotowywała się już do rańszej akcji. — Na odezwie widzimy prócz imion ludzi znakomitych, znanych ze swoich postępowych przekonań, imiona młodych, a wybitnych pracowników.

Odezwa ta i akcja poczynająca się coraz lepiej rozwijać nie-podobała się innowrocławskiemu czasopismu pt. Dziennik kujawski i krakowskiemu »Czasowi«.

Pisma powyższe uznają wprawdzie potrzebę sprowadzenia do kraju śmiertelnych szczątek śpiewaka »króla ducha«, nie mają nic przeciwko samej idei, owszem jest ona — mówią — jako taka, godna poparcia, bo Słowackiego należy kochać i wielbić ale ... czyż spełnieniem pragnień całego narodu ma się zajmować kraj, który w ostatnich czasach okrył się taką hańbą, na którym pasożytuje zaraźliwy wrzód — brak sumienia narodowego ?! Dziennik kujawski uważa, że lepiej jest prochy poety zostawić raczej na obcej ziemi niż, żeby go mieli Galicyanie swojemu świętokradczemi rękoma wnosić między królów do grobów na Wawelu. Za Dziennikiem kujawskim powtarza i »Czas« to samo, dodając że akcja wypływa z inicjatywy »studentów«, a nie ludzi poważnych.

I oto stajemy wobec ciężkiego zarzutu! Niejesteśmy godni tknąć się trumny z prochami mistrza, nie jesteśmy — bośmy owrzodzeni i brudni. Znalazły się dwa uczciwe pisma, które wypełniły smutny obowiązek narodowy, podniosły rękę karzącą społeczeństwo, aby je naprawić. Agłós ten godny Katona wyszedł z partii konserwatywnej; ona stoi na straży, narodowej czci, ona jest sumieniem narodu...

I taki wniosek byłby najzupełniej konsekwentny, logiczny i prawidłowy jak konsekwentnym logicznym i prawidłowym byłby wniosek tych pism: Nie powinna teraz Galicya zajmować się sprowadzeniem zwłok poety — gdyby pierwsza jego premisa była prawdziwa. Na drugą bowiem, że społeczeństwo moralnie upadłe powinno się najpierw poprawić, ocknąć duchowo, a potem czyste i godne ręce brać prochy wieszczów — zgadzamy się najzupełniej. Otóż jak brzmi pierwsza premisa?

»Jesteśmi zepsuci i niegodni; w ostatnich czasach pokazaliśmy brak w sobie wielu pierwiastków etycznych!«

Wiele jest u nas złego, ale do tegośmy jeszcze nie doszli! Wzywamy wszystkich ludzi logicznie myślących, aby nam powiedzieli, czy kilka krachów finansowych, kilka jednostek nieuczciwych lub raczej lekkomyślnych — może stanowić o nieuczciwości całego społeczeństwa. Przecież w każdym prawie społeczeństwie można znaleźć kilku szubrawców trwoniących własność publiczną. A czyż nazywamy te społeczeństwa niezdrowymi? Wątpimy bardzo, żeby *Dziennik kujawski* i *Czas* o tem nie wiedziały... Zresztą

sprawy tej nie rozstrząsamy bliżej, choć możemy się domyslać co ma »Czas« przeciw poecie, co »kochał lud więcej niż umarłych kości.«

Jeszcze w jednej rzeczy nie zgadzamy się z »Czasem«. Musiał on źle zrozumieć intencje młodzieży skoro mu się zdaje, że te ogólne zajęcie się jej sprawą sprowadzenia zwłok poety do do kraju, było skutkiem »manii uroczystościowej i festynowania«. Nie prawda! Młodzież powodowała się tylko uczuciem miłości ku poecie!

Słowacki był bezpośrednim poprzednikiem naszej doby. Nikt tak nie odczuł ducha dzisiejszej epoki, jak ten właśnie poeta. On stroił lutnie całemu zastępowi młodych poetów, którzy teraz boleją razem z nami i oddają nasze uczucia. Na każdym prawie znaczący wpływ nieśmiertelnej Muzy Juliusza. Słowacki nam pokazał drogę, którą przebywamy, a któreśmy jeszcze nie przebyli. W ciemnościach i zagadkach błądzimy jak ślepi, nie wiemy kędy iść, gdzie się obrócić; jego dzieło orjentują nas, bo są biblią przepowiedni i Apokalipsą przyszłych dni.

Dlatego też my pragniemy widzieć Słowackiego pomiędzy nami. Nam lepiej będzie żyć w niewoli jeśli uczujemy nad sobą unoszące się duchy naszych wielkich. Słodszym i bardziej czystym będzie nasze życie, jeśli wypełnimy testament człowieka — który tyle olbrzymich zasług oddała Ojczyźnie, a tylko błaga... błaga o garstkę ziemi.

Pragniemy tego i tęsknimy za tem; niech się otworzą podwoje grobów na Wawelu, a obok królów wielkich i świętych — spocznie on największy i najświętszy.

Teodor Mianowski.

Juliusz Słowacki.

Twierdzenie, że Słowacki jest un poete maudit, poetą wyklętym, nieznanym i zapomnianym, wyda się każdemu chyba tylko żartem.

Przecież wszyscy go czytają, zachwycają się i unoszą nad nim, dzieła jego są omawiane, rozbierane i komentowane, mnóstwo mamy studyów krytycznych, doczekał się nawet znakomitej, monografji, na jaką napróżno dotychczas czeka Mickiewicz, a w hierarchji poetów narodowych pierwsze po Mickiewiczu zajmuje miejsce.

Gdyby z podobnem twierdzeniem był ktoś wystąpił jeszcze za życia poety, możnaby się na to ostatecznie było zgodzić. Wówczas rzeczywiście był prawie nieznany, krytyka nie umiała się poznać na jego geniuszu. Ale dziś? Cóż znowu! Wprawdzie społeczeństwo nie żywi dla niego już tego zapału i entuzjazmu, jakim paliły się głowy rozegzaltowanej młodzieży, a niestety i starszych z owej nieszczęsnej epoki lat sześćdziesiątych, kiedy to w tornistrze każdego powstańca znalazłeś »Kordyana« lub »Księdza Marka«; ciężkie doświadczenia, straszne klęski i pogrom ostudziły ten zapał; dziś zapatrujemy się trzeźwiej na jego poezję, dziś sprawiedliwiej ją oceniamy, ale nikomu przez myśl nawet nie przejdzie wątpić, żeby Słowacki nie był wielkim poetą. Czegoż więc chcieć więcej?

A jednak mimo tych zapewnień, może nie byłoby zbyt trudno udowodnić, że Słowacki jest poetą wyklętym. Bo dwóch jest Słowackich. Jeden z nich to ten, któregoście uznali i być może nawet sprawiedliwie ocenili. Nie wykazaliście może wszystkich jego piękności, za prędkości może uwierzyli w »bluszczowość« jego natury, ale bądź co bądź uznali.

Ale jest drugi jeszcze Słowacki: poeta genezyjskich otchłani, objawiciel tajemnic śpiących w mrocznych głębiach ducha, żeglarz pełen przeczuć kolumbowych o nowych nieznanach kontynentach, sternik duchami napełnionej łodzi, poeta natchnień i cudownych, apokaliptycznych wizyj, najwyższy wyraz i uosobnienie ducha i myśli polskiej skierowanej w przyszłość, twórca ewangelji narodowej i narodowego posłannictwa!

Ten Słowacki — to dla was mistyk, spirytysta, dziwak, obłąkaniec; człowiek chory, zdzieciniały i rozbity; człowiek który zatracił trzeźwy pogląd na najprostsze rzeczy, na codzienne, zwykłe stosunki, a nawet na bijące w oczy pewniki. »Wznosił się czasem do niedościgłych wyżyn poezyi«, ale to były tylko lucida intervalla. I wystawili mu wasi psychiatrzy literaccy patent na szaleńca.

Wyrok słuszny, sąd sprawiedliwy, bo przypatrzmy się tylko, czego to nie roił chory mózg poety. Wierzy w nieśmiertelność i wszechmocność ducha, mówi »iż wszystko przez ducha i dla ducha stworzone jest a nic dla cielesnego celu nie istnieje«, przeczy materii, temu największemu pewnikowi wszelkiej wiedzy. Celem jego uwolnić duszę jak najwięcej z pod wszystkich ciała ucisków, a iść jedynie po świetle tą duszą ciągle młodą, ciągle rosnącą w moc i życie. Wierzy w ewolucję, nie darwinowską, ale w ewolucję i genezę z ducha, wierzy w jakąś misję którą każdy czło-

wiek wypełniać winien podług myśli Bożej, wierzy nawet w jakąś misję zbiorowych duchów, niekończącą się nigdy i idącą w nieskończoność ku najwyższym celom; przyjmuje jako fakt pewny obcowanie duchów widzialnych i niewidzialnych, wyznaje po prostu spirytystyczne doktryny. Ale po co tyle słów tracić wszakże sam napisał w liście do Rembowskiego: »Posyłam ci Genezis z ducha, która mi była podyktowana nad morzem, bez przyzwolenia na to myśli moich, przy uśpionych władzach rozumu«.

To wasz sąd. Rozumiemy dobrze, że poglądy i myśli Słowackiego nie przypadają wam do smaku; one nie odpowiadają waszym użytecznym ideałom i celom, — ale gdzie argumenta, gdzie pewność, że się wy nie mylicie?

Racjonalizm dzięki Bogu nie jest dla wszystkich alfą i omegą. Voltaire i Encyklopedyści, materjalizm i pozytywizm, nauki doświadczalne i mechaniczny pogląd na świat nie zaspokoją nigdy potrzeb ducha ludzkiego i nie zdołają go nigdy ujarzmić. Racjonalizm albo zamyka oczy i twierdzi: niema żadnych tajemnic, albo skoro się odważy spojrzeć w głąb, dostaje zawrotu głowy i woła: ignorabimus! Bezwątpienia Dubois Reymond wypowiedział tem słowem niezbitą prawdę — ale tylko dla siebie i zwolenników mechanicznego na świat poglądu, bo dla nich wszystkie wielkie i głębokie zagadnienia są nieprzystępne, »ci ludzie z kości i stalowych sprężynek, zegarki te społeczeństwa, często stojące, grać będą zawsze te same, zwyczajne kuranty, od wieków słyszane na świecie, o zdrowym rozsądku, rozwadze i rozumie...«

Ale czy to stanowisko jest prawdziwe i słuszne, czy jest naukowo uzasadnione? Na to pytanie, zdaje mi się można dać spokojnie odpowiedź przeczącą. Gdyby nawet cały świat uchylił czoła przed powagą racjonalistów, to duch polski tego nigdy nie może uczynić, naszemu duchowi odpowiada indywidualny tylko pogląd na świat z wyłączeniem wszelkiego materjalizmu. Świat fizycznych zjawisk, świat materji nam nie wystarcza. My pragniemy genezy z ducha, objawienia z ducha. A takie objawienie dał nam Słowacki i takie objawienie jest w naszej narodowej ewangelji. Tylko te święte księgi zamknięte na siedm pieczęci i oddane pod straż »zdrowego rozsądku«. Ale tak nie będzie wiecznie. Są coraz silniejsze objawy budzącej się reakcji przeciw temu skostnieniu. Mamy nawet bardzo zdolnego i dzielnego myśliciela walczącego pod hasłem wyzwolenia filozofji i myśli polskiej z pod panowania wszechwładnego rozsądku i dążności użytecznych: W. Lutosławski. To nie poeta, a przecież jego system filozoficzny na indywidua-

liźmie oparty wygląda tak, jakby bezpośrednio z pism Słowackiego zaczerpnięty. Lutosławski doszedł do swego indywidualistycznego poglądu zapewne samodzielnie, ale to nie zmienia faktu, że u Słowackiego jest on już zupełnie gotowy, tylko bardziej porywający, bardziej natchniony. Zasługa Lutosławskiego, choć go p. Struve zaliczył do anarchistów ducha, jest wielka, bo może teraz mieć będziemy odwagę pokonać »nałóg z nauki« i zgłębić pisma i nauki wieszczu. A zaprawdę wielki już czas zawrócić z drogi na którą zawiodło nas odstępstwo od Zakonu objawionego przez Mickiewicza i Słowackiego. Dokąd zaszliśmy dzisiaj? »Wzajemny stosunek duchowy Polaków do plemion słowiańskich postawiony zostaje fałszywie. Co więcej, Polska przestaje się odtąd czuć w Słowiańczyźnie. Szarpana bolem klęsk i zawodów, wydana na różne eksperymenty gabinetów i systemów rządzenia nią, traci wiarę w siebie, w swą słowiańskość, w swą ogromną misję w Słowiańszczyźnie, zatracą poczucie swej istoty duchowej, a tem samem traci pewność i energię we wszystkich kierunkach swego życia. Ani jednej odtąd własnej żywej myśli, ani jednej własnej wyższej formy!« (A. Górski, Ton messyański w duszy Słowackiego. Życie Nr. 7. z 1 kw. 1899).

Wszczepiono w zdrowy pień narodowy wszystkie choroby wieków przeszłych i teraźniejszych. Europeizujemy się na gwałt, ale ani na krok nie poszliśmy naprzód. Patrzymy na Galicyę; jak wygląda ta cieplarnia i hodowla praktycznych ludzi i urzędników, ta Arkadja zdrowego postępu i zdrowego konserwatyzmu, mądrości politycznych, pracy organicznej, socjalizmu, antysemityzmu i tych wszystkich niezliczonych programów, programików i haseł? Jeżelibyśmy pominęli nawet ostatnie katastrofy, których rezultat da się zamknąć w tem strasznem pytaniu: kto uczciwy? — to i tak obraz stosunków galicyjskich w nie bardzo różowych przedstawia się nam barwach. Duch narodowy zamiera; poczucie obywatelskie i odwaga cywilna zanika zupełnie; nigdzie siły przekonania, nigdzie wielkich i pięknych charakterów. Karjera, wzbogacenie się, użycie — to jedyny cel i pragnienie jedyne. Duch polski — to jakieś membra disiecta: są konserwatyści, liberali, demokraci, postępowcy, ludowcy, socjaliści, klerykali, są nawet dreyfusardzi i antyrewizjoniści, ale Polaków niema. Młodzież — to przyszły narybek tych wszystkich stronnictw i twórcy nowych jeszcze partyj. Ażeby ten obraz uzupełnić, trzeba by dotknąć każdego niemal objawu życia rodzinnego, wychowania, życia społecznego i polityki.

Naprawdę to już nie próby rozstroju, ale rzeczywisty, namacalny rozstrój i rozkład ducha naszego.

Z tych wszystkich prób oparcia naszego życia na podstawach i formach obcych, na ideale równości cielesnej, z tych wszystkich prób rządzenia się podwójną moralnością a wyzwolenia się z pod panowania Ewangelii Chrystusowej — jedną przynajmniej dziś mamy korzyść: dowód wprost i bezpośredni, że te wszystkie zasady i formy obce są zabójcze dla nas, a równocześnie dowód pośredni że trzeba wrócić do zasad głoszonych przez Mickiewicza i Słowackiego.

Powszechnie utarło się prawie przekonanie (głównie dzięki tz. szkole krakowskiej), że sprawcami klęsk r. 1863 są nasi poeci a przede wszystkim Słowacki. Całą winę zrzucają na twórców idei messyanicznej twierdząc, że myśli ich przeniesione w sferę praktycznego działania mogły wywołać zbrojny ruch, którego fatalne skutki do dziś dnia trwają.

Ale to nieprawda! Wina spada na tych, którzy tak samo jak my dziś, nie rozumieli prawdziwej istoty idei messjanicznej. Do zrozumienia jej potrzeba pewnego przygotowania; potrzeba wnikać w istotę twórczości Słowackiego, ale bez uprzedzeń i z chęcią odkrycia prawdy. A wtedy przekonamy się, że Słowacki wytworzył sobie jednolity i zupełnie logiczny system filozoficzny, że nie jest on bynajmniej spirytystą czerpiącym objawienia za pośrednictwem stolików pukających. Zobaczymy, że jego pogląd na świat wytrzymać może porównanie z systemem niejednego wielkiego i uznanego filozofa, a pod względem etycznym o całe niebo stoi wyżej. Poznanie filozofji Słowackiego da nam klucz nie tylko do zrozumienia wspaniałych piękności *«Króla Ducha»* i utworów pomieszczonych w pośmiertnem wydaniu pism poety, ale przyczyni się także w wysokim stopniu do słusznego ocenienia jego politycznych myśli, które wyłożył w broszurce *«O potrzebie idei»* w znakomitym liście do Księcia A. Czartoryskiego i w *«Głosie brata Juliusza Słowackiego»*.

Naród każdy o tyle tylko może istnieć i ma rację istnienia, o ile posiada jakąś ideę, albo przynajmniej jakiś ideał. Ludy które pragnienia i dążności swoje objawiają tylko w ideale, muszą koniecznie z postępem czasu być niższe, bo ideał koniecznie musi się uosobić w człowieku, a są chwile, w których brak takiego człowieka i następuje wtenczas duchowe interregnum, podczas którego naród upada. Idea dopiero zapewnia narodowi trwanie i ciągły, stateczny postęp. Więc trzeba ją narodowi objawić, aby

ją w sobie uświadomił. To zadanie podjął messjanizm i dokonał go przez Słowackiego, Mickiewicza i Towiańskiego. Ideę tę wywiedli oni z najwewnętrzniejszych głębi ducha polskiego. Prowadzeni cudowną potęgą intuicji i natchnienia, dziwną siłą odczucia i wmyślenia się w przeszłość dziejową narodu odkryli i objawili nasze przeznaczenie i posłannictwo, cel dla nas własny i myśl własną. — Jakaż jest idea Polski?

„*Wolność* duchowa, pozbawiona tej obrzydliwości, która na dzisiejsze cielesne komunizmy i purpurowe demokracje upada. *Rząd*, w którymby duch wyższy nie służył niższemu, nie zaś *postawienie cielesne* wszystkich pod *jedną miarę* podług średniej ludzkiej urody zrobioną; *hierarchia* podług zasługi mocy duchowej uczyniona, gdzie wszelka rewolucja ze zwierzęcych samolubnych pasji musiałaby pochodzić, a wszelki rząd z miłosnego ducha i z porządku wypływać. Taki był ideał duchowy Republiki, do którego Polska dążyła.

Rzeczpospolita wytworzyła sobie formy rządu (jednomysłność, veto, konfederacja), w których idea ta miała się urzeczywistniać; ale duch ożywiający te formy uleciał, nie wytrwaliśmy w naszym posłannictwie, niewypełniliśmy myśli Bożej, zesłaliśmy do roli „małego naśladowcy innych narodów. Straciliśmy nie zawisłość i byt polityczny, co było konieczną i zasłużoną karą.

Odrodzenie nasze jest w powrocie do tych idei. Odzyskać możemy dawne nasze stanowisko nie drogą orężnej walki, przemocą i gwałtem fizycznym, nie interwencją obcych, dyplomacją i biernym wyczekiwaniem cudów, ale drogą wewnętrznej przemiany starego człowieka w ducha miłości ewangelicznej. Złego nie można zwalczać nienawiścią i złością, ani siłą cielesną. „Starać się trzeba, aby niemiłość rodzącą tyraństwo z duchów natury wydrzeć, ofiarą i poświęceniem“. „Ideą podbijaj duchy narodów, aż cię ukochają dla wielkości i anielstwa celów twoich. A wszyscy dopomogą do czynów“. Każdy z nas powinien być uosobieniem i wcieleniem ojczyzny, powinien tę ojczyznę w sobie rodzić. Posłuchajmy modlitwy poety w „Genezie z ducha“, a przekonamy się najdowodniej, że obcą mu była wszelka myśl o przemocy fizycznej:

„O! Panie, który kazałeś szumowi i szelestowi wietrznych pól bladym kwiatkiem okrytych; aby mię uczyły słów tej księgi... a wiedzę na dnie ducha mego uśpioną obudziły — spraw aby te słowa westchnieniem pisane, przeszły jak wiatr i szum morski; a przechodząc i mijając, niektóre wielkie duchowe moce, w ojczyźnie mojej uśpione, z niewiadomości własnej, na światło

wiedzy własnej wywiodły... Aby z tej Alfy i z Chrystusa i ze słowa twego wyprowadzon był świat cały — aby mądrość jasna, miłością Bożą w duchach tworzona rozwidnieniem dla każdej nauki stanęła... O to proszę, Boże i Panie mój! o *widzącą wiary*, a zarazem *uczucie nieśmiertelności* z wiary widzącej w duchach zrodzone.

O słońce mądrości Bożej proszę, w którem widzę już mieczowego anioła przyszłej *ofiary*. Albowiem na tych słowach iż *wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, a nic dla cielesnego celu nie istnieje...* stanie ugruntowana przyszła wiedza święta narodu mojego... a w jedności wiedzy pocznie się jedność uczucia i widzenie ofiar, do ostatecznych celów, przez ducha świętej ojczyzny prowadzące.

•Ojcze Boże, według Świadcstwa Chrystusa Pana przez nikogo jeszcze na ziemi nie widziany, a który teraz krwawe i udręczone tłumy kształtów Genejzyskich, ciemną dla formy — ale łaskawą i sprawiedliwą względem Duchów i Ducha mego, a stąd jaśniejszą i niby zbliżoną twarzą spojrzales: Spraw, aby ta jedyna droga rozwidnień i oświeceń; droga miłości i wyrozumienia, coraz mocniej jaśniała wiedzy słońcami i lud twój wybrany, a drogą bolesną teraz idący, do królestwa Bożego zaprowadziła•.

Tą wiarą, która mu piersi rozsadza, chce natchnąć rodaków, tej idei służy i „w niej żyje, i żyje póty, póki w niej żyje, a bez niej żyćby się niezgodził nawet w raju, nawet w Polsce, gdyby ona, tą ideą nie była“. Temu wzniosłemu posłannictwu, tej szczytnej misji poświęcił wszystkie chwile ostatnich siedmiu lat swojego życia, każde drgnięcie swojego płomiennego serca, każdą myśl swoją, wszystkie moce swojego potężnego, twórczego ducha. Bóg mu „położył na ustach węgiel czorwony i kazał prorokować hymn wrący, szalony•; poezja jego to nie gonienie za marnym poklaskiem i sławą, to już czyn, najwyższe wysilenie twórczych mocy, wstrząsające całą jego istotą, to jakieś upojenie się duchem Bożym, ciągła egzaltacja i gorzenie całopalną ofiarą. Stąd moc jego słów, rewelatorstwo jego poezyi, bezpośredniość jaka się z niej wyrzuca, żar i ogień, jaki z niej bucha, prawie że przeraża, wstrząsa duszą jakby jaki wichr przedstworzenny, stygmatyzuje ją po wszystkie dni,

Lecz „dotąd nie twórczość Ducha w Polsce ubóstwiano — ale zręczność foremą umysłową i cielesną — czyli rzemiosło•.

Stanisław Brzozowski.

Mysli z dzieł Słowackiego.

Nad miecz i łańcuchy,
Straszniejszy — który na duchu zabija.

Kto pod ideą stanie, każdy uczuje tę chęć, którą miał
Chrystus; powie jak On: jedzcie ciało moje i pijcie krew moja.

O! to słowo straszliwe i wnarodowione u nas: *zrobić karierę*,
ten wąż straszliwy!

Nie mów — leniwych duchów nie budź rzeszy,
Bobyś obudził ogień nienawiści.

Duchowemi cudami Bóg wyciska miłość — cudami mate-
ryalnemi strachby tylko w ludziach obudził.

Skupiaj się i pierwszej uczuj miłość dla człowieka, nim zacz-
niesz z nim gadać.

Nie silcie się na egzaltację i przeciw sumieniu nie gadajcie
o niczem.

Żaden naród jeszcze — od stworzenia świata — nie był
wdzięczny za wsteczną impulsję, ale owszem zacierał wszelkie
ślady podwójnie wybitych kroków swoich i wstydził się, jeżeli
przeszłość swoją przed sobą w przyszłości zobaczył.

Biada tym, którzy chcą jednego lata
Owoców, a o męczeństwo nie proszą,
A o dar ducha do nieba kołają
Jak ty, nie wzięwszy go czynem i pracą!

Duch zwycięży — lecz zwycięstwem Golgoty.

Prawdziwe rozłączenie się ludzi jest tylko w duchu, gdy
jeden naprzód idąc, mocuje się z czasem i łamie formy istniejące,
a drugi, zamiłowawszy rzeczy przeszłe, cielesne, a tęsknotą wabiące
po szatańsku, zostanie i da się pochwyć tym wirem ludzi, który
ciągle wiruje i burzy się, a nic z siebie nie wyrzuca nowego nad
to co było.



Od redakcyi.

Drugi rok dla czasopisma, któremu i optymiści nie wróżyli nad kilka miesięcy istnienia, to przecież ważny dowód koniecznej potrzeby tego rodzaju czasopisma, a z drugiej strony dowód, że istniejące może niezupełnie, ale w każdym razie w pewnej mierze zadość uczyniło tej potrzebie. — Niewątpliwie błędów było wiele, wiele niedostatków, to też obok słów uznania i zachęty dostawaliśmy czasem korespondencye z ostremi słowami krytyki. Za jedno i drugie wdzięczność... bo pierwsze podtrzymywały zapał do pracy, dawały ufność, że dobrą drogą kroczymy, drugie umożliwiały usunięcie niektórych usterek, ulepszanie czasopisma.

Jednym z głównych celów, jakie redakcyja przy zakładaniu czasopisma sobie postawiła, było »wytworzenie ogólnego czucia pomiędzy uczącą się młodzieżą«. Ale ta ucząca się młodzież jest pod trzema różnymi zaborami, jest oddzielona od siebie kordonami, żyje w odrębnych warunkach i stosunkach, podlega innym hasłom i prądom. I o to skromny cel wyrósł od razu w wspaniałą ideę »solidarności młodzieży polskiej w trzech zaborach« i skromne czasopismo galicyjskie zamierza się stać ogólnopolskiem. przemiany tej dokonali nasi koledzy z zaboru pruskiego. Nigdzie może życzliwszych i gorętszych nie znalazła »Tekka« czytelników, jak w tej dzielnicy. »Wszędzie przyjęto ją z zapalem«, donoszą nam w liście nasi bracia, »raźniej poczęły bić serca, bo nareszcie znaleźliśmy pismo, które nie obarczając młodych umysłów niepotrzebnym balastem wskazuje im drogę, jaką kroczyć winne, by zadość uczynić obowiązkom względem ojczyzny«.

»Z niewypowiedzianą radością witamy pismo dla młodzieży gimnazyalnej przeznaczone«, piszą nam w innym liście, »widziiny bowiem gotowe to, co od dawna naszym marzeniem, którego urzeczywistnienie atoli zdawało się być niemożliwe«.

Najpiękniejszą jednak chwilą, było otrzymanie zbiorowego pisma od młodzieży zakordonowej, z wyrażeniem »gorącego uznania za tak pożyteczne dzieło«, oraz przyrzeczeniem współpracownictwa. To pismo przysłane w chwili gdy ciągle konfiskaty wyczerpały prawie zasoby finansowe, a niedostateczna ilość prenumeratorów z Galicyi nie mogła utrzymać czasopisma, zadecydowało o dalszem jego istnieniu.

Nie brakło jednak czasem i u naszej młodzieży, objawów sympatyj i uznania dla »Teki« (choć daleko częściej spotykało się

z obojętnością i apatją). I tak w jednym liście piszą nam: »Pozostajemy gorliwymi czytelnikami »Teki« z tem zapewnieniem, że jej szczytnych myśli i zasad nigdy nie zapomnimy i będziemy się starali za tych lat parę wejść w to życie akademickie, ale nie jako »geniusze bez teki«, lecz jako nowe, inne i zdrowe pokolenie!»

W innych znów listach donoszą nam o wrażeniu, jakie wywołały poszczególne artykuły. Słowem zawiązały się stosunki, znajomości, nastąpiło wzajemne poznanie, wytworzył się nastrój serdeczny i przyjacielski.

Jedna z kwestyi w »Tece« podjętych szczególnie ogół młodzieży poruszyła. Gimnazjum Cieszyńskie! Z Sambora n. p. piszą nam: »Przeczytawszy wraz z kilkoma kolegami 10 Nr. Teki doznaliśmy uczuć, które wstrząsnęły naszym sercem do głębi. Ta wiadomość, że gimnazjum cieszyńskie zwróciło się do nas, do młodzieży z zaufaniem o pomoc przepełniła nas radością«.

Z innych miast donoszą nam także, o zbieraniu składek. W zaborze pruskim podjęto z całym zapałem tę myśl narodową, aby »nie runęła ta baszta stercząca wśród morza teutonizmu, aby ten gmach zbudowany dobroczynnością narodu polskiego nie npadł«.

Dla uzupełnienia obrazu naszej działalności musimy dodać jeszcze, że samo pojawienie się i wiele z poszczególnych artykułów »Teki« wywołały żywe dyskusye w prasie codziennej, przez co wzbudziło się większe zainteresowanie dla młodzieży, że wreszcie wiele artykułów przedrukowanych z »Teki« dawało poznać szerszemu ogółowi usposobienie i kierunek młodzieży.

Czyniąc zadość życzeniom z wielu stron wyrażonym postanowiliśmy w tym roku rozszerzyć zakres czasopisma także na młodzież akademicką; równocześnie z tem musiała nastąpić przemiana naszego czasopisma na miesięcznik, na czem treść czasopisma tylko zyska.

Wszystkich kolegów prosimy o poparcie naszej pracy.

Język polski w szkołach średnich zaboru pruskiego.

Pielęgnowanie języka ojczystego: temat to stary, a jednak niewyczerpalny, szczególnie w obec obojętności i oziębłości, z jaką Polacy zaboru pruskiego — młodzieży bynajmniej nie wykluczając — zabierają się do każdej nieco uciążliwej, wymagającej wytrwałości i hartu, pracy społecznej. W słowa i skargi zawsze obfici, wymagamy od wroga, którego dążenia skierowane są na zagładę

naszej narodowości, względów i ustępstw, miasto własną energią ducha hardo i dumnie lepsze położenie sobie wywalczyć! Bo czegoż możemy się spodziewać od rządu pruskiego, jeśli jak dotąd gnuśnie, żółtim krókiem w przyszłość kroczyć będziemy, jeśli się nie wzdrygniemy, leniwi? Pogardy!

Niestety żyliśmy się ze słabością oglądania się na obcą pomoc, trudno nam oswoić się z myślą samodzielnej akcji: żądamy tym sposobem, żeby szkoła wpoila w nas dostateczny zasób wiadomości języka ojczystego, sami zaś nie uważamy za stosowne czerpać z źródeł, chociażby łatwo przystępnych, bo pierś nam wprawdzie wyschła, pragnie nie pali, pożera, ale od grzechu lenistwa zestarzały się kości nasze.

Że po gimnazyach upadek ducha narodowego porówno kroczy z pognębieniem i wypieraniem języka polskiego, o tem niech świadczą nieznośne wręcz stosunki, które obecnie panują w poznańskim gimnazyum Maryi Magdaleny, w gimnazyum, które w naszym zaborze największą może się poszczycić liczbą uczniów Polaków.

Po wstąpieniu w stan spoczynku profesora K. osoby wielce szanownej i około nauki języka polskiego bardzo zasłużonej, władzy szkolnej zdawało się zbytecznem postarać się o nowego, wytrawnego filologa Polaka. Dziś w całym gimnazyum nie uprawia się gramatyki języka polskiego wcale, po prostu z tej przyczyny, że zaledwie jeden członek kolegium szkolnego powierzchowne ma o niej pojęcie. W prymie zabija się czas nudnym, suchym wykładem o sonetach lub balladach Mickiewicza i bezplanową lekturą, w klasach średnich powierzono naukę języka polskiego Polakowi, posiadającemu wprawdzie liczne dostojeństwa i honory, władającemu jednakowoż językiem ojczystym gorzej od własnych uczniów, w najniższych zaś klasach mozoli się Niemiec, który nieraz — mimo najlepszych chęci — z chłopcami porozumieć się nie może.

Zdawaćby się powinno, że młodzież wzrastająca wśród tak nienormalnych, a raczej niemoralnych stosunków, mówiąca o nich co chwila z przekąsem, że młodzież ta w przeczuciu i zrozumieniu grożącego jej niebezpieczeństwa ze strony szkoły - germanizatorki myśli swe i dążenia skupi około jednego, jedyne go celu: uratowania języka ojczystego, wzmocnienia ducha narodowego. Niestety dzieje się wręcz przeciwnie! Na palcach prawie można policzyć dojrzałe jednostki, które trzeźwo, z odpowiednim młodzieńczym zapałem i zaparciem się siebie samego bronią strażnicy polskości, uparcie borykają się z zimnym, obrażanym, brudnym egoizmem kreatur, które zwą się kolegami!

Ogół zaś zgniły, bezmyślny prowadzi żywot, ślepo, ryczałem toczy się w przepaść rozterki i nierządu. Nie zdając sobie sprawy z niedopełnienia obowiązków, czem krwawo społeczeństwo swe zawiedli, z postępowania niecnego, którem byt narodu podkopują, nie pojmując ogromu swej winy, lekceważąco igrają z ogniem, liżącym martwe, bezduszne ich ciała...

Nie dość, że brakiem zainteresowania się wzorowymi dziełami piśmiennictwa polskiego skostniałych nie krzepią serc, nie kształcą się w języku ojczystym, w naszym zaborze tak upośledzonym i pokoszlawionym, nie dość, że zwykłym naleciałościom oporu nie stawiają, nie! wręcz przyczyniają się własną osobą do zeszpecenia i zbeszczeszczenia mowy polskiej.

Miedzy gimnazyastami tutejszymi wyrabia się pewien żargon: wyrażenia niemieckie bierze się żywcem do polskiego, polonizując wyrazy niemieckie końcówkami polskimi. Początkowo czyni to się niby żartem, popisuje się dowcipnemi zwrotami, z czasem atoli wżerają się one w pamięć, bezwzględnie wywalczając sobie obywatelstwo. Dochodzi do tego, że abiturient nie umie obyć się bez tak potwornych wyrażen jak »ablajtować formułkę!!«

Może wszystkiemu winien wiek młodociany, niedojrzałość gimnazyastów? Może z latami i rozum przybywa i duch się budzi? Niestety piszący te słowa źle porobił w tym względzie doświadczenia! Bo cóż! jeśli my, młodzież zaboru pruskiego, nędzarze co się tyczy wiadomości języka polskiego, jeśli my hardo odpychamy dłoń, która nam z litości pokarm podaje, jeśli w miastach, gdzie blisko 200 Polaków kształci się po wyższych zakładach naukowych, jeśli tam zaledwie dziesięciu wysyłamy »przedstawicieli« na publiczne wykłady o języku polskim — cóż można nam wróżyć za przyszłość?!

Lecz wy, młodzi szermierze, bohatersko walczący w imię dobrej sprawy, nie upadajcie na duchu, wytrwajcie! Nie dosyć wzniosłe rzucać hasła, nie dosyć chwilowo zapalać się do czynu; hartu, stałości nam trzeba! Całego wpływu użyjcie, ażeby zbłąkanych »braci« wyrwać z dotychczasowego trybu życia, surowo karćcie występki, paraliżujące rozkrzewienie myśli patryotycznej i kompromitujące nas w oczach własnych wrogów. Strzeżcie mowy ojczystej, skarbu drogiego, skarbu jedy- nego, który wam pozostał z licznych klejnotów obrabowanej, pogwałconej Polski; budźcie ducha narodowego, którego z serca głębi brutalna przemoc wydrzeć nie zdoła; bracia młodzi: otuchy! odwagi!

Cieszyn*).

„IV. Sprawozdanie dyrekcyi prywatnego gimnazyum polskiego z prawem publiczności w Cieszynie za rok szkolny 1898/9. Cieszyn 1899. 8°. str. 32.“

Z dziwnem uczuciem bierze się do ręki skromną, szarą broszurę o powyższym tytule, wydaną nakładem »Śląskiej Macierzy.« Jest w tem uczuciu coś więcej aniżeli zwykła codzienna ciekawość... Zbytecznem chyba byłoby tłumaczyć — dlaczego. — Odwracamy tytułową kartkę i zaraz na wstępie czeka nas miła niespodzianka: poezya — obok suchej, sprawozdawczej prozy i cyfr statystycznych. Literacką część sprawozdania (str. 1—13) wypełnia pióro Piotra Parylaka długoletniego i zasłużonego profesora języka i literatury polskiej w kilku gimnazyach Galicyi, a obecnie dyrektora gimnazyum w Cieszynie. Znajdujemy tu kilka udatnych przekładów z literatury ruskiej (poezye Mogilnickiego, Szaszkiewiczza, Padury), trzy dłuższe nietłómaczone dotąd ustępy łacińskich poezyi Kazimierza Sarbiewskiego, przełożone przypyszną polszczyzną, i spora wiązanka aforyzmów — wierszem. — Te ostatnie cechuje niezwykle bogactwo myśli, jędrność i prawdziwie męska siła — stylu i wyrażenia — a obok tego dźwięczy w nich cicha, a rzewna struna jakiejś serdecznej tęsknoty czy smutku...

Druga, urzędowa część sprawozdania (str. 14—32) zawiera wiadomości szkolne. Z tą częścią sprawozdania chcielibyśmy szczególnie zapoznać naszych czytelników, aby tem łatwiej mogli sobie urobić swój własny, bezstronny sąd o obecnym stanie i potrzebach zakładu, który tem sprawozdaniem zamyka czwarty rok swego istnienia i działalności.

Idąc porządkiem wskazanym przez układ sprawozdania rozpoczynamy od grona nauczycielskiego. Przy końcu roku szkolnego 1899 grono to składali: *Piotr Parylak*, dyrektor gimnazyum, członek komisji językowej Akademii Umiejętności w Krakowie, *ks. Józef Londzin* naucz. religii rzym. kat. *Ks. Jan Pindór* proboszcz ewang. oraz nauczyciele: *Dr. Jan Wytrzens*, *Franciszek Antosz*, *Marceli Maternowski*, *Dr. Aleksander Czuczyski*, *Jan*

*) Pod powyższym tytułem otwieramy stałą rubrykę dla spraw dotyczących gimnazyum polskiego w Cieszynie. Redakcyja *Teki* będzie w niej zamieszczać odnośne artykuły w miarę jak będą nadsyłane z różnych stron kraju, oraz szczegółowe wykazy ofiar i datków w pieniądzu, książkach itp., złożonych na rzecz gimnazyum w Cieszynie przez uczniów szkół średnich i wyższych.

Śnieżek (członek komisji fizyogr. Akad. Umiej. w Krakowie). *Jan Kukucz*, *Michał Janik* (współpracownik kom. językowej Akad. Umiej. w Krakowie) *Maryan Wyrwiński* i *Jan Fober* nauczyciel muzyki i śpiewu.

W powyższem zestawieniu czytelnicy nasi z Galicyi odnajdą nie jedno znane sobie nazwisko. Wymieniliśmy je w tem miejscu w przekonaniu, że cała ucząca się młodzież polska powinna znać nazwiska ludzi, którzy z czystych i bezinteresownych pobudek służenia sprawie narodowej, mimo dogodniejszych niewątpliwie warunków pracy i życia w kraju, poszli na dalekie kresy, związali losy swoje i swoich rodzin — z niepewną przyszłością prywatnej szkoły, ażeby szerzyć światło nauki i wszczepiać miłość Ojczyzny w młodocianne serca tych, którzy tego światła i tej miłości potrzebują najbardziej.

Powtarzamy raz jeszcze z naciskiem, że młodzież ucząca się, z czcią i miłością powinna wymawiać nazwiska tych ludzi, ażeby w ten sposób choć w części wynagrodzić im brak należytego uznania za ich poświęcenie i pracę — ze strony społeczeństwa.

Co się tyczy *programu udzielanej nauki* nie wiele da się tu zauważyć wobec okoliczności, że program ten określony ustawą państwową, przepisami ministerstwa wyznań i oświaty oraz Rady szkolnej krajowej — od programu nauki w gimnazyach galicyjskich zasadniczo w niczem się nie różni. Zaznaczyć tu jednak musimy rzecz jedną, bardzo doniosłą, na którą codzienna prasa polska przy omawianiu sprawozdania nie zwróciła dostatecznej uwagi — lub co gorsza, zupełnie ją pominęła. Oto, w programie naukowym klasy III i IV, *nie znajdujemy wcale zmianek o nauce historyi polskiej*. Wiemy skąd inąd, że Dyrekcya Zakładu i Zarząd Śląskiej Macierzy czynił starania o wprowadzenie tego przedmiotu w program nauki szkolnej, starania te jednak rozbiły się o niełomny upor Rady szkolnej krajowej i o teutońską iście zaciekłość ludzi takich jak osławiony z nienawiści ku Polakom Dr. Haase et *tutti quanti*. Więc można nad tą luką w programie naukowym boleć, ale dziwić się jej nie można, zwłaszcza że i u nas, w Galicyi, historia Polski (nie wspominamy już o historyi porozbiorowej) przemycaną jest pod postacią t. z. »historii kraju rodzinnego« alias »krajówki«, którą traktuje się z lekceważeniem, jako przedmiot nadobowiązkowy na rzecz, (†) »szczególnego uwzględnienia dziejów austriacko-węgierskiej monarchii« tj. naszej »właściwej« ojczystej historyi. Wytykać brak ten w programie naukowym szkoły średniej podległej i zależnej od czysto niemieckiej Rady

szkolnej księstwa cieszyńskiego, wobec faktów oczywistego lekceważenia nauki historyi polskiej w szkołach średnich Galicyi, byłoby »wytykać żbło w oku bliźniego swego nie bacząc na tram w oku własnem« — byłoby widzieć cudze pod lasem, a nie widzieć swego pod nosem.

W szeregu *przedmiotów nadobowiazkowych*, jakich w ubiegłym roku szk. udzielano w gimnazyum cieszyńskiem wymienia sprawozdanie: kaligrafię, (59 uczniów), śpiew (87 uczniów) i muzykę (skrzypce) (55 uczniów). Z żalem podnieść trzeba, że nie udzielano nauki języka francuskiego, rysunków, gimnastyki. Tu już nie niechęć Rady szkolnej, ale brak funduszków (czytaj: obojętność, apatya, nędza Galicyi) uważać należy jako wyłączną przyczynę złego. Nauka powyższych przedmiotów wymagałaby przyjęcia i należytego udotowania nauczycieli, utrzymywania stosownych sal, przyrządów i przyborów, co musiałoby być połączone z nowym i to znacznym wydatkiem. A czyż na taki wydatek pozwalały skromne fundusze Macierzy, których za lat parę na utrzymanie zakładu może zabraknąć? — Co się tyczy nauki gimnastyki, to brak jej odczuła boleśnie sama Dyrekcyja zakładu i w jednym z ustępów sprawozdania (str. 28). p. t. »Sprawa fizycznego rozwoju młodzieży« dała temu silny i wymowny wyraz. — Czytamy tam: »Na niewielkiem podwórku szkolnem znajduje się kilka najniezbędniejszych przyrządów gimnastycznych, na których młodzież podczas przestanków odbywała ćwiczenia i używała ruchu. Starania »Macierzy szkolnej« o zaprowadzenie nauki gimnastyki spełzły na niczem, ponieważ nie udało się jej uzyskać sali gimnastycznej. To też w braku ćwiczeń gimnastycznych — odbywała młodzież w lecie dłuższe przechadzki do pobliskich okolic i lasów, używała kąpeli w rzece Olszy, a w zimie ślizgawki...« — Czy jednak przechadzki, kąpiel i ślizgawka chociażby jak najczęstsze, zdołają zastąpić systematyczną naukę gimnastyki, o tem chyba dwu zdań być nie może, zwłaszcza dzisiaj, gdy się o sprawie fizycznego wychowania młodzieży tyle mówi i pisze.

Z kolei przystępujemy do sprawozdania o *zbiorach naukowych* zakładu. Należą tu: 1) biblioteka (dla nauczycieli, dla uczniów i ubogich uczniów) 2) środki pomocnicze do filologii, geografii, historyi i matematyki, 3) gabinet historyi naturalnej 4) gabinet fizykałny, 4) Czasopisma.

Biblioteka dla nauczycieli liczy 2683 dzieł w 4354 tomach, *biblioteka dla uczniów* w języku polskim dzieł 543 w 553 tomach, w języku niemieckim dzieł 250 w 254 tomach, *biblioteka dla*

nhogich uczniów 1526 tomów — ogółem zatem liczą wszystkie trzy biblioteki 5002 dzieł w 6687 tomach. Cyfry przerażająco skromne!

Sprawozdanie podaje imienny wykaz ofiarodawców, którzy w ubiegłym roku szkolnym nadesłali w darze książki dla biblioteki gimnazjum. Szukamy skwapliwie jaką rolę w tym spisie nazwisk odgrywa Lwów, stolica kraju — siedziba tylu zakładów naukowych, bibliotek towarzystw, redakcyi, posiadająca w swoich murach tyle księgarń, spółek wydawniczych, nakładców i autorów... (sławnych bardzo sławnych, najsławniejszych autorów!) Rezultat poszukiwania przygnębiający: o bibliotece gimnazjum cieszyńskiego pamiętali tylko dwaj ludzie: honor Lwowa ratuje żyd, właściciel, księgarni polskiej, p. Połoniecki — honor młodzieży — abiturient gimnazjalny p. M. Sk. Dalsze komentarze -- chyba zbyteczne.

O innych zbiorach naukowych — które wymieniliśmy powyżej da się zauważyć przedewszystkiem ich niezmiernie ubóstwo, które już przy pobieżnym przeglądzie sprawozdania rzuca się prosto w oczy. W pierwszym rzędzie odnosi się to do gabinetu historyi naturalnej i gabinetu fizykalnego. Pierwszy, *w dziale zoologicznym* liczy zaledwie 109 okazów zwierząt kręgowych, 37 okazów zwierząt bezkręgowych (z pominięciem owadów których jest 2500) i 48 tablic ściennych; *w dziale botanicznym* 19 modeli kwiatów i 18 tablic ściennych; *w dziale mineralogicznym* 843 sztuk okazów skał i minerałów i 51 papierowych i szklanych modeli kryształów i drogich kamieni. Drugi, dla każdego działu nauki fizyki wykazuje zaledwie po kilka lub kilkanaście przyrządów, maszyn, modeli. Łatwo wobec tego zrozumieć jak trudne zadanie ma przed sobą z jednej strony uczeń, który olbrzymi zakres wyobrażeń i pojęć w dziedzinie nauk przyrodniczych przyswajać sobie musi w sposób czysto pamięciowy zapomocą nauki książkowej, a z drugiej strony nauczyciel, który brak modeli i przyrządów zastępować musi ustnym opisem lub rysunkiem.

Na dnie tych suchych i niemych cyfr sprawozdania tkwi znowu wyrzut; płynie z nich jakaś bolesna skarga na obojętność polskiego społeczeństwa które te cyfry czyta, ale ich zrozumieć nie chce lub nie może.

Wyrzut ten oczywiście nie dotyka młodzieży — bo zarządzenie złemu nie leży w zakresie jej możliwości i wpływów. A jednak przy odrobinie dobrych chęci dałoby się zrobić nie jedno. Wiemy naprzykład z całą pewnością — że znaczna część młodzieży szkół średnich Galicyi, zwłaszcza w klasach niższych kompletuje zbiory

owadów, minerałów, posiada herbaryum, zbiory monet, kolekcje zabawek i figielek naukowych — opartych na prawach fizyki i mogących posłużyć do ich wykazania i wytłómaczenia. Wiemy również (choćby z własnego doświadczenia) jaki los staje się ostatecznym udziałem tych zbiorów — które czas jakiś stanowią przedmiot szkolnego przedmiotu i handlu — zanim nie spoczną gdzieś na strychu lub na dnie studenckiego kuferka — i nie staną się pastwą pyłu i molów, lub zapomnienia.

A gdyby tak te zbiory, które marnieją bez pożytku, odsyłać do gabinetów cieszyńskiego gimnazjum? Piękny okaz motyla, kryształ, dobrze zaszuszonej rośliny — ma dla nauki swoją wartość — niekiedy bardzo nawet znaczną, a ofiarowany z serca, z gorącym pragnieniem przyczynienia się czemś do wspólnej pracy i wspólnej ofiary, staje się cegiełką, która na szali zasługi przeważać może niekiedy wspinałą świątynię wzniesioną przez ludzką pychę lub próżność.

Sądzę, że Administracya »Teki« z chęcią pośredniczyłaby w zbieraniu takich »cegiełek« i odsyłaniu ich razem na miejsce przeznaczenia.

Przechodzimy do najważniejszej i ostatniej części sprawozdania: *do statystyki uczniów.*

Z początkiem roku szkolnego 1898/9 liczyło gimnazjum polskie w Cieszynie 202 uczniów. W ciągu roku opuściło zakład 5 — tak że z końcem półroczu liczba uczniów wynosiła 197.

W stosunku do lat poprzednich cyfra ta przedstawia się następująco:

w roku szk.	1895/6	było uczniów	74		
»	»	1896/7	»	»	117
»	»	1897/8	»	»	175
»	»	1898/9	»	»	197

Wszyscy uczniowie gimnazjum w liczbie 197 byli narodowości polskiej.

Według wyznania religijnego było: katolików obrz. rzym. kat. 150, katolików obrz. grec. kat 1. ewangelików wyz. augs. 3, wyznania mojżeszowego 1.

Według miejsca urodzenia było: Ze Śląska austr. 154, z Galicyi 40, ze Śląska pruskiego 1, z Austrii dolnej 1, z Bukowiny 1, zaś według miejsca pobytu rodziców, ze Śląska 160, z Galicyi 37. Nader ciekawe i cenne są cyfry odnoszące się do stanu rodziców uczniów, gdyż one służą do wykazania z jakich klas i sfer społecznych rekrutują się wychowankowie zakładu. I tak wedle stanu

rodziców było: synów pastorów i nauczycieli 15, synów kupców i przemysłowców 9; natomiast synów rolników i posiadaczy gruntów 91, rzemieślników 26, robotników 29, prywatyzujących 16. — Zatem, 82⁰/₁₀₀ ogólnej liczby uczniów pochodziło z ludu.

Niemniej interesujące są daty dotyczące wyniku klasyfikacji z końcem półrocza szkol. 1898/9.

Na 202 uczniów przejętych do załadu z początkiem roku szkolnego z końcem roku

otrzymało stopień celujący	30
„ stopień pierwszy	141
„ poprawkę z jednego przedm.	16
„ stopień drugi	8
„ stopień trzeci	2
nieklasyfikowano	5

Nawet najzaciętszy wróg gimnazjum naszego musi wobec tych cyfr przyznać, że *postępy naukowe uczniów, jakie wykazała klasyfikacja, są w całym tego słowa znaczeniu świetne*. My dodamy, że takiego rezultatu mogłaby cieszyńskiemu gimnazjum pozazdrościć niejedna galicyjska szkoła średnia, wyposażona dostаточно we wszystkie środki naukowe i najznakomitsze siły nauczycielskie.

Spółczesństwo polskie może być dumne ze swoich cieszyńskich „wychowanków.” Grosz złożony dla nich w ofierze nie poszedł na marne: On stał się kapitałem od którego lichwiarskie odsetki pobierać będzie nasza sprawa narodowa w niedalekiej już może przyszłości...

Wśród ważniejszych zdarzeń jakie wymienia kronika zakładu, należy na pierwszym miejscu podnieść uroczysty wieczór mickiewiczowski urządzony dnia 22 grudnia 1898 r. z powodu setnej rocznicy urodzin wieszczka. Był to pierwszy obchód mickiewiczowski urządzony w Cieszynie przez młodzież szkolną. Część muzyczno-wokalną wypełniły produkcyje uczniów zakładu, słowo wstępne wygłosił prof. Michał Janik, zaś zakończenie dyrektor zakładu Parylak. W wieczorze wzięli udział także rodzice uczniów w charakterze gości.

Przypuszczamy, że i w nadchodzącym roku szkolnym odbędzie się w gimnazjum cieszyńskim wieczorek mickiewiczowski, podobnie jak we wszystkich gimnazyach galicyjskich. Byłoby rzeczą wskazaną i bardzo pożyteczną, ażeby ucząca się młodzież polska z pod wszystkich trzech zaborów pamiętała o terminie tego wieczorku, i w dniu obchodu w stosowny sposób zaznaczyła swoją łączność ze śląskimi kolegami...

Powyższe sprawozdanie Dyrekcyi, które staraliśmy się o ile możności szegółowo, a bezstronnie streścić dla użytku naszych szanownych czytelników, uzupełniamy na zakończenie kilkunastu cyframi wyjętymi z preliminarza budżetu »Macieży polskiej« na utrzymanie gimnazjum w r. 1898/9 :

Preliminarz ten wykazuje *w rozchodach*: Pensya roczna dyrektora, profesorów i nauczycieli przedmiotów nadobowiązkowych 20.323 złr. Czynsz za budynek szkolny 2.717 złr. 50 ct. Wydatek na opał 250 złr., wydatek na środki naukowe 1.700 złr. na potrzeby kancelaryjne 180, inne wydatki 300 złr. — razem 25.470 złr. 50 ct. Na pokrycie tych wydatków wykazywał preliminarz Macierzy *w dochodach*: odsetki od funduszków ulokowanych w papierach wartościowych w kwocie 2.408 złr. 68 ct. oraz chesne od uczniów w kwocie 2.400 złr. — Suma dochodów wynosiła więc w preliminarzu kwotę 4.808 złr. 68 ct. która przeciwstawiona sumie wydatków 25.470 złr. 50 ct. daje *niedobór w kwocie 20.661 złr. 82 ct.*

Taką kwotę powinno było złożyć społeczeństwo polskie w r. 1899. w drodze darów i składek — względnie, o taką sumę musiał się zmieścić zakładowy fundusz przeznaczony na utrzymanie gimnazjum, i o taką też lub niewiele mniejszą kwotę w istocie fundusz ten się zmniejszył.

Widocznie leży to już w naturze naszego narodowego charakteru — czy też jest winą jakiejś ciężającej nad nami klątwy, że nasze ekonomiczne, społeczne i polityczne rachunki zamykałyśmy w przeszłości i zamykamy dciąd jeszcze... niedoborem.

Antek Budzik.

Zdzisław Dębicki.

Moja praktyka.

(Wspomnienia).

20 sierpnia.

Od dwóch tygodni siedzę już w Marienthalu i nic nie robię — tylko wytrzeszczam oczy na pannę Lisbeth.

Zdaje mi się, że stary Brum już to zauważył i że podejrzliwie teraz na mnie patrzeć zaczyna. Ale — *vogue la galere!* Co mnie to może obchodzić? Lisbeth jest śliczna. Podoba mi się. Ma duże, błękitne oczy i jasne blond włosy — prawdziwy typ ger-

mański. Nie. Germanki nie mają tak zmysłowo wykrojonych ust, takich warg różowych i pełnych, stworzonych do pocałunków — a Lisbeth je ma. Musi w niej być trochę krwi słowiańskiej.

Jak ona cudownie wygląda w perkalikowej, jasnej sukience, którą pokrywa przy zajęciach gospodarskich fartuszkiem — zwykłym, płóciennym, w szare z niebieskim paski, z bawecikiem, przypiętym powyżej piersi, na obojczykach, dwoma srebrnymi szpilkami w kształcie motylków. Motylki te mają rozpostarte skrzydła i wyglądają tak, jakby chciały lecieć ku jej ustom..

Jak ona się krząta żwawo dookoła stołu, rozlewając rano kawę, albo kiedy na podwieczorek kraje i smaruje masłem chleb pszenny, biały, cudowne dzieło zabiegów swoich w piekarni.

Ale Lisbeth jest nie tylko gospodynią. Wieczorami grywa na fortepianie. Ma bardzo delikatny *touché* i dużo sentymentu w grę swoją kładzie. Lubi polskich mistrzów. Szopen wychodzi z pod jej palców blado, znać jednak, że go rozumie. Kilka kawałków Moniuszki gra z pamięci i dobrze. Wczoraj ubolewała, że nie może dostać nic z *Halki*, którą uwielbia. Słyszała kiedyś dwie arye na koncercie, chciałaby się nauczyć, a nut nie ma. Obiecałem, że jej sprowadzę z Warszawy. Niech gra. Jak to przyjemnie będzie w zimowe wieczory, tu, pośród Niemców, mieć dziewczynę, grającą polskie rzeczy! Będę miał złudzenie, że jestem w domu. A to tak daleko, daleko i nie wiem, czy kiedy jeszcze wrócę w te progi, które opuściłem, Bóg wie po co! Zachciało mi się wyszarzać trochę po świecie — skrzydła rozpostrzeć i — przede wszystkim — zabić ten żal i tęsknicę, która mi duszę toczyła od chwili zerwania z Zosią.

Zbyt dumny byłem, żeby wrócić i ze schylonem czołem zebrać o łaskę. Wolałem zgnieść w sobie serce, zdławić uczucie i pójść w świat, zanurzyć się w życiu i zginąć — zaprzepaścić się, lub ukojenie znaleźć w śmierci. Chciałem być, jak liść na wole wiatrom dany. Niechaj mnie pędzą, dokąd chcą, myślałem Z Warszawy czmychnąłem, jakim stał do Berlina. Miałem przy sobie 60 rs. Podróż zabrała mi stosunkowo nie wiele. W Aleksandrowie zmieniłem pieniądze i kapitały moje prawie że się podwoiły. Miałem więc nadzieję, że dam sobie radę przez parę tygodni, a co potem — to mnie już nic a nic nie obchodziło. Czy kula w łeb, czy jaki tańszy sposób wydarcia swojej duszy z nędznego ciała — to już wszystko jedno.

Tak myślałem, kiedym się pierwszej nocy po przybyciu do obcej stolicy układał do spania na hotelowym łóżku, czystem

i dość miękkim, jak na podrzędną kategorię zajazdu, w którym stanąłem.

Cztery tygodnie żyłem nienajgorzej, ale — pieniądze przysły.

Pierwszego sierpnia po obliczeniu kasy miałem wszystkiego 15 marek i coś tam drobnych. Z tego trzeba było odłożyć część na mieszkanie, za które płaciłem 75 fenigów na dobę. Reszta miała mi wystarczyć na życie. Zacząłem wegetować. Przedewszystkiem należało zasznurować żołądek. Przestałem jadać obiady. Bułki i kawa były jedynym moim posiłkiem.

W duszy tymczasem zaczynało mi się coś rwać i płać. Czułem, że mnie opuszcza pewność siebie, że nie umiem już z dawnym spokojem machnąć ręką na wszystko, ale że ogarnia mnie jakaś trwoga nieokreślona na myśl o przyszłości. To instynkt samozachowawczy odzywał się we mnie i brał górę nad filozofią, która kazała mi życie przekląć, jako nic warte, puste, złudzeń i rozczarowań pełne.

Siedziałem nieraz w domu zasępiony. „Co będzie dalej?” kołatało mi się po głowie i mózg darło, a odpowiedzi nie znajdowałem żadnej.

Włóczyłem się po mieście i melancholja, blizka uczuciu głuchej, tępej rozpaczysła za mną krok w krok. Co tu robić? myślałem.

Ubranie moje traciło coraz bardziej charakter „*intelligent nego*“, a z nim i ja razem. Trzewiki moje zaczynały się przecierać. Pod podeszwami czułem już każdy kamień, ze wstydem patrzałem na zrudziałą skórę i dostrzegałem poobrywane guziczki u moich kamaszy. Stawałem się coraz bardziej podobny do tych nędzarzy, którym społeczeństwo przyznaje tytuł „pana“ i uniemożliwia przez to wyciągnięcie ręki po prośbie — do tych, błakających się po ulicach wielkich miast proletaryuszów umysłowych, z których każdy dźwiga pod czaszką jakąś tragedję strasznej walki o byt.

W takich warunkach zacząłem obliczać prawdopodobieństwo otrzymania zajęcia. Widoków nie było żadnych. Ale — *contra spem* — można było rozpocząć poszukiwania.

W niedzielę 3 sierpnia poszedłem na kawę do Schmidt'a, którego buda słynęła z obfitości gazet. Położyłem przed sobą stos dzienników i zacząłem wertować działy ogłoszeń. Nigdzie niebyło nic. Miałem już wychodzić, kiedym spostrzegł nieprzejrzany jeszcze jakiś tygodnik, poświęcony rolnictwu i hodowli bydła. Ani z jednym ani z drugim nie miałem nic wspólnego, od niechcienia jednak wziąłem pismo do ręki. Zacząłem od końca. Oko padło

mi zaraz na grubemi literami wydrukowane ogłoszenie. Przeczytałem raz, drugi, trzeci i nie mogłem uwierzyć. Przesylabizowałem wolno, starając się utrwalić sobie w pamięci każde słowo i na każdym ześrodkować uwagę, czy aby dobrze widzę i dobrze czytam? Ogłoszenie brzmiało:

„W Marienthal, majątku hr. F. jest do objęcia miejsce praktykanta rolnego. Wynagrodzenie 600 marek. Bliższych wiadomości udzieli zarządzający F. Brum. Porozumienie listowne. O. p. N.“.

Sześćset — marek to nie byle co! Niewątpliwie do tego dadzą mieszkanie i jeść przynajmniej z pięć razy dziennie, jak to u nas po wsiach. Na samą myśl o tem żołądek mój się skrzył, jakby chciał przez to powiedzieć, że on nic przeciw warunkom takim niema, ale najchętniej na nie przystaje.

Zacząłem myśleć. Na rolnictwie się nie znam. Moje matematyczne studia na nic się tu nie przydadzą. Zresztą, dyabła one warte. Z całek i różniczek rosółu nie ugotuję. Ale — to praktyka. Nauczę się czegoś, będę miał fach w ręku. Wieś zawsze lubiłem. Przed oczyma przesunął mi się nawet obraz żniw — zboże w kopach, dziewczęta na łanie, śmiechy i żarty...

Możeby to i dobrze było...

Sięgnąłem do kieszeni. Miałem jeszcze 12 marek. Dziś 3-go. Jeżeli zaraz napiszę — do 5-go powinienem mieć odpowiedź, zapłacę za mieszkanie $6 \times 75 = 4.50$, zostanie mi 7.50, z tego ze 4 marki na podróż, a 3.50 na życie przez te 3 dni, które mam przed sobą. To wcale nieźle — marka dziennie!

W tej chwili żołądek jeszcze dobitniej przyświadczył mi, że byłoby nieźle.

Ha, niema co!.. Los czuwa nademną. Poczciwi ludzie — praktykantowi dają 600 marek i naukę rolnictwa! No, ale hrabiowskie dobra, to i mogą sobie pozwolić. Przestałem się wahać. Zrobiło mi się przyjemnie na myśl, że już nie zginę. Byłem pewny, że interes ubiję.

Wesół wyszedłem na ulicę. Po drodze kupiłem arkusz papieru, kopertę i markę pocztową. Rażno skierowałem się ku domowi. Wbiegłem na moje czwarte piętro, zapaliłem świecę i wyraziłem przy pomocy hieroglifów gotyckich klasycznym polsko-niemieckim stylem swoją gotowość objęcia proponowanej posady. Zaadresowałem do p. Bruma i postanowiłem natychmiast list wrzucić.

Upadł na dno skrzynki...

Skrzynka była na jednym rogu, na drugim — knajpka „pod złotym jeleniem“.

Mimowoli spojrzałem na szyld i w głowie mi zaświtało, że byłoby rzeczą bardzo na miejscu wypić szklankę piwa za zdrowie p. Bruma, hrabiego E. i za pomyślność całej sprawy.

Wszedłem.

Przesiedziałem w knajpie z godzinę. Wychodząc, byłem już pewny, że się na Brumie nie zawiodę.

Nazajutrz jednak opadły mnie najrozmaitsze wątpliwości. 5-go sierpnia straciłem już wszelką nadzieję. Co chwila zbiegałem na dół pytać portyera, czy niema do mnie listu. On tylko oczy szeroko otwierał i przecząco głową kiwał. Nad wieczorem dopiero kiedym strapiony wychodził na miasto i nie śmiał już zaczepić »szwajcarskiej powagi« p. Johanna, on sam za mną zawołał i list mi wręczył.

Stałem przy oknie wystawowem najbliższego sklepu i drżącymi palcami rozerwałem kopertę. Brum donosił, że zgadza się na moją propozycję. 7-go wysłał konie na stację. Mam więc zebrać się do drogi i nie zrobić mu zawodu.

Omiał w górę nie podskoczyłem. Berlin wydał mi się tak cudownem miastem, jak żadne inne na świecie, a Niemcy tak pocziwymi ludźmi, że chciałem się pierwszemu lepszemu z nich na szyję rzucić.

Oprzytomniałem jednak i poszedłem na kolację »pod zło- tego jelenia«.

Nie żałowałem sobie.

Nazajutrz cały dzień błąkałem się po mieście, dzień przeznaczony mi przez Bruma na »uregulowanie interesów«. Co za ironia!

W nocy z 6-go na 7 nie mogłem spać. Majaczyło mi się ciągle, że czas wstawać, że jeżeli się o minutę spóźnię — wszystko będzie stracone, ubiegnie mnie kto inny, a ja zostanę w Berlinie, skazany na zagładę.

Zasnąłem dopiero nad ranem. Obudziłem się o 8-mej. Pozostawało mi jeszcze dwie godziny do pociągu. Wstałem, ubrałem się i załatwiłem rachunek ku wielkiemu zdziwieniu gospodarza, który już się był przyzwyczaił do mnie i myślał, że na stałe u niego zamieszkać.

O 9 byłem na dworcu. Płatałem się przez trzy kwadransy pomiędzy przejeżdżającymi i odjeżdżającymi — wreszcie przyszedł czas i na mój pociąg.

Jakież było moje rozczarowanie, kiedym się dowiedział, że w pociągu tym niema 4 klasy. Trzecią jechać nie mogłem — brakło mi do tego 2 mk.

Rób co chcesz.

Zatelegrafowałem do Bruma, że przyjadę dopiero następnym pociągami.

Do południa musiałem przesiedzieć na dworcu. Wreszcie doczekałem się.

Podróż trwała krótko.

Na stacyi w N. zastałem konie, a w godzinę potem witał mnie już na ganku w Marienthalu poczciwy Brum. Wyglądał jak w prostej linii potomek Barbarossy. Wysoki, barczysty, z sumiastemi brwiami, wąsaty i z ogromną, jasną, rozwianą brodą — stał na progu i wyciągnął do mnie obie ręce. Widziałem, jak mnie od stóp do głów obrzucił bystrem spojrzeniem. Zdawało mi się, że spodziewał się mnie innym zobaczyć. Bez cienia jednak jakiegokolwiek zawodu wprowadził mnie do pokoju, gdzie właśnie cała rodzina siadała do stołu.

Pani Brum powitała mnie wesołym i przyjemnym uśmiechem, a Lisbeth światowem podaniem ręki...

Nie upłynął kwadrans, a czułem się, jak u siebie.

Moja łamana niemczyzna wprawiała Brumów w dobry humor, a ja ze zdziwieniem łowiłem dźwięki *plat-deutsch'u* często wtrącane przez nich do rozmowy.

Po kolacyi przeszliśmy do salonika. Brum czytał dzienniki, pani zasiadła przy małym stoliczku z szydełkową robotą, a Lisbeth grała *Burzę* Webera. Ja siadłem w kącie, słuchałem i obserwowałem.

O dziewiątej byłem już w swoim pokoju, na górze...

Tak się zaczął mój pobyt w Marienthal.

Dzień w dzień w podobny sposób spędzam wieczory. Wszyscy robią to samo, ja nic, tylko się cieszę, że Lisbeth urozmaica coraz bardziej swój repertoar.

Rano z Brumem idziemy w pole, potem obiad, po obiedzie dozór przy młockarni, o 4 podwieczorek, o 7 kolacya, a do dziewiątej słodkie *far niente* i cudowne oczy jasnowłosej artystki.

Ach, Lisbeth! Żebyś ty wiedziała, jak ja mam ciebie pełno w duszy teraz, kiedy to piszę...

Dwa tygodnie minęły mi niespostrzeżenie. Wiem, że nic przez ten czas nie zrobiłem, nauczyłem się tylko patrzeć na ciebie i słuchać twojej muzyki. Śliczna praktyka! I za to dostanę 600 marek, nb. jeżeli mnie nie wyrzucą po miesiącu. *d. n.*

O głębokości snu.

W jednym z ubiegłych numerów „Teki” poświęciliśmy kilka uwag istocie snu i jego przyczynie, wskazując na tę wciąż otworem stojącą biologiczną zagadkę; teraz zajmiemy się zestawieniem innych badań w tym zakresie, a mianowicie tyczących się pomiarów nad głębokością snu w różnych czasach po zaśnięciu.

Kohlschütter, uczeń Fechnera, rozpoczął pierwsze badania w tym kierunku już w r. 1860, dokończył zaś je i ogłosił w r. 1862.

Jako środka porównawczego używał podrażnień słuchowych. Spuszczał mianowicie ciężar o stałym ciężarze z oznaczonej wysokości na metalową płytę i z siły dźwięku potrzebnego do rozbudzenia śpiącego wnosił o głębokości jego snu, przyjmując naturalnie, iż głębokość snu jest wprost proporcjonalną do siły dźwięku potrzebnego do wywołania przebudzenia.

Jako objawy przebudzenia służyły: Poruszenie się śpiącego, zmiana rytmu oddechania, lub danie umówionego znaku przez osobę poddającą się doświadczeniu.

Wyniki swoich badań zebrał Kohlschütter w cztery prawa następujące:

1. Głębokość snu zwiększa się z początku szybko, potem powoli w czasie pierwszej godziny po zaśnięciu, aż dopnie swego maximum; potem opada w ten sam sposób jak następował wzrost głębokości snu, tj. z początku szybko, potem bardzo wolno. Przez czas kilku godzin poprzedzających zupełne przebudzenie pozostaje głębokość snu bardzo nieznaczna i prawie stała.

2. Nagłe zmniejszenie głębokości snu przez zewnętrzne podniety sprawia, iż ten potem jest znacznie głębszy od poprzedniego, głębszy, niż miałoby to miejsce wówczas gdyby nie działała żadna przeszkoda. Wielkość i trwanie tego sztucznego pogłębienia snu zależy od czasu i siły podniety, która spowodowała obniżenie jego głębokości. Zresztą sen następny stosuje się w zupełności do pierwszego prawa.

3. Pomiędzy głębokością a czasem trwania snu istnieje ścisła łączność tego rodzaju, że ze zwiększeniem się głębokości snu rośnie zupełnie proporcjonalnie jego długość i odwrotnie. Przebudzenie musi być w tym wypadku zupełnie naturalne, nie jako skutek z zewnątrz działającej przyczyny.

4. Świadomości i woli należy przyznać wpływ na otrzymaną głębokość i trwanie snu. Często bowiem zwłaszcza przy odpowiedniej uprawie budzimy się stale o pewnej godzinie, nieraz z za-

dziwającą wprost dokładnością. Przebudzeniu takiemu towarzyszą po największej części odpowiednie marzenia senne jak n. p. spoglądanie na zegar, rozpoczęcie czynności z powodu której chcemy się zbudzić i t. p.

Późniejsze badania pochodzą od Mönninghoffera i Presbergena, którzy te doświadczenia robili na przemian na sobie. Do zbudzenia używali również podniet słuchowych.

Według Presbergena głębokość snu dochodzi do swego maximum w trzecim kwadransie drugiej godziny. Przez pierwszą godzinę i pierwszy kwadrans drugiej głębokość snu zwiększa się bardzo powoli, w drugim i trzecim kwadransie drugiej godziny bardzo gwałtownie, tak iż przy końcu drugiego kwadransu dosięga swego maximum, potem opada zwolna aż do drugiej połowy piątej godziny. Tę chwilę uważa Presbergen za charakterystyczną z tego powodu, że odtąd głębokość snu prawie się już nie zmniejsza, lecz zostaje stale bardzo bliską stanu obudzenia.

Ostatnie dokładne badania w tym kierunku zawdzięczamy Edwardowi Michelsonowi z Dorpatu.

Do budzenia używał on również podrażnień słuchowych, lecz zmodyfikował je w ten sposób, iż podczas gdy jego poprzednicy tuż obok śpiącego spuszczaali metalowe kule na metalową podstawę, przyczem nie mogli usunąć szmeru z powodu obecności experymentatora obok śpiącego, Michelson wysłał swoje podrażnienia słuchowe z odległości, przez co uniknął błędów popełnionych przez swoich poprzedników. Jako miary głębokości snu w danej chwili używał autor podrażnienia słuchowego tej siły, któreby doprowadziło o obę badaną do *granicy* snu i świadomości. Stan, który wywołała owa podnieta nazywa *progiem obudzenia*.

Na tem ustaleniu wywoływanego podniętą stanu, polega druga wyższość pod względem dokładności najnowszych badań nad poprzedniami. Poprzednicy Michelsona czekali, aż medyum zupełnie się obudzi i da im znak swego czuwania; Michelson obrał chwilę poprzedzającą przebudzenia *zupełne*, a o tem dawało medyum znać przez naciśnięcie guzika elektrycznego znajdującego się przy łóżku. Właściwy przyrząd strącający kulki znajdował się nad głową śpiącego, obsługiwane zaś przyrządu odbywało się z odległości, a mianowicie z drugiego pokoju. Siłę podrażnienia słuchowego oznaczono w prosty sposób jako iloczyn z ciężaru kuli (p.) przez wysokość (h.), którą musiała przebiec (p. h.). Była to więc żywa siła spadających kul, oznaczona wprost w gramcentymetrach.

Do pomiarów używał pięć medyków, samych lekarzy lub studentów medycyny, którzy sami mieli pewien interes w badaniach, mogli więc kontrolować siebie z wielką ścisłością.

W swych doświadczeniach przekonał się autor, że głębokość snu dosięga swego maximum po największej części już po upływie pierwszej godziny po zaśnięciu, dla pokrzepienia zaś ważniejszą jest głębokość snu, jak jego długość. Sen zbyt długi posiada po- cząwszy od piątej godziny po zaśnięciu bardzo nieznaczną głębo- kość i nuży zamiast dawać wypoczynek. Tem się tłómaczy dla- czego po silnem zmęczeniu ranną pracą, krótka półgodzinna drzemka po obiedzie pokrzepia, dłuższa sprawia ociężałość i nieu- dolność do pracy.

Co się tyczy szybkości zaśnięcia, to im prędzej ono nastąpi, tem sen jest głębszy, a więc i więcej pokrzepiający.

Od powyżej zestawionych prawideł istnieją oczywiście mniej- sze lub większe zboczenia indywidualne, te jednakowoż nie zacie- rają ogólnie postawionego prawidła.

Michelson przekonał się dalej, że można przez pewne czyn- ności pogłębić sen, a mianowicie przez ciepłe kąpiele, dla nie- przyzwyczajonych do wysiłków mięśniowych przez wiosłowanie, jazdę na rowerze, gimnastykę i t. p.

Wogóle z dotychczasowych badań to powiedzieć można z całą pewnością, że najlepszy, bo najbardziej pokrzepiający sen jest *głęboki a krótki*. f.

MŁODE PIÓRA

Ghopin.

Słyszę bijące głucho pogrzebowe dzwony —
Szeroko płyną tony ich — gdzieś pod niebiosy —
Umilkły — jeno smutnie kołyszają się wrzosa
I spada cicho liść od wiatru potrącony.

Znów biją — a za niemi płaczą ludzkie głosy —
Słyszysz jak serce szle — przed Boże trony
Boleści ciężki jęk, rozpaczą przepełniony.
I znów głos dzwonów strąca z traw kropelki rosy.

Znam te straszliwe tony i jęki boleści —
Zechcesz, to je wywołasz z skrzypców mistrza dłonią,
Zechcesz, a smutek głuchy duszę moją ścieśni.

Lecz graj je! Tam prócz śmierci i życie się mieści,
Z nieśmiertelności wiankiem nad swą mglistą skronią
Z tych tonów idą ku nam ci — co niecieleśni.

Wilołdowicz.

Sermontow.

Żagiel.

Samotny żagiel wśród wodnej toni
Bieleje siną okryty mgłą.
Czegoż on szuka w dalekiej stronie?
Czemuż porzucił krainę swą?

Igrają fale, wiatr głucho wyje
I maszt skrzypiący gnie się wśród fal...
Nie w stronę szczęścia żagiel gnie szyję,
Ani od szczęścia ucieka w dal.

Pod nim się głębia ściele w lazurze
Pod nim drżą blaski słonecznych zórz,
A on, buntownik, płynie gdzieś w burzę
Jak gdyby spokój był pośród burz.

Z rosyjskiego przełożył

A. B.

Psalm y boleści.

III.

Czyż treścią życia tylko łzy i bole
Czyż pieśnią życia tylko cierpień zgrzyt?
Darmo żreńce wyteżam i wolę
Bo gdzież, o Panie, na tym łez padole
Ziemskiego szczęścia choćby nizki szczyt?

A może jam oślepl, a może me uszy
We wszystkim dosłyszają burz tylko mej duszy?

A może to piękne, co brudne, plugawe
I szczęściem, co ciemne, co gorzkie i łzawe
I wzrok mój tylko dziwaczy?

Hej, może wesoło wciąż dalej i dalej
Po fali zepsucia po łez mętnej fali? —

O wybacz, Panie, lecz śmiech to rozpaczy!

Jam szukał ciągle, ciągle nowe drogi

Splatają mi się w labiryncie sieć

I ani wybrnąć, ni ochronić nogi

Ach, bo tak twarde wszystkie moje drogi,

A ból do serca przylgnął mi by śniedź!

A może dlatego, że coraz to nowe

Ścieżyny mię wiodą, cierń oplótł mą głowę?

Lecz któraż ma droga z tych kaźni podziemnych?

Czy jedna z tych twardych, czy jedna z tych ciemnych?

O, wiedząc już bym nie zboczył?

Ach, wskaż mi ją, Panie, bo żadna nie nęci,

Na każdej cierń kole, łza w oku się kręci,

A jasnej — jasnej jam nigdy nie zoczył!

Może istotnie jakie bielmo czarne

Powlekło duszy niegdyś jasny wzrok?

Lecz patrz, o Panie, wszakże wszystko marne,

Choć chwilę nęci, strojne choć i gwarne,

Choć niby jasny życia wartki tok!

O przebacz mi, Panie, że skargą boleści

Zdrój hymnów przerywam, co ucho twe pieści!

Ja chciałbym, ach chciałbym, z wygnania tych dołów

Z ludzkością szczęśliwą pieśń nucić aniołów!

Gdy w sercach raj się zaplemi,

Nad cierpień mogiłą i złości ruiną

Z sere pieśni nadchnione popłyną, popłyną,

Niebiańska pieśń zabrzmi — choć z ziemi!

O cudny sen — długiego pasma wieków,

W malignie bólów nasz go wysnuł ród,

By błędny ognik łzawych, mętnych ścieków...

Lecz sen to tylko, ach, a nigdzie leków

Choroba trwa i wszystko próżny trud!

O spojrzij już, Panie, wszak czasów tysiące

Schną dusze, schną serca zmarniałe i drzące,

Wszak wieki błagalnych już chóry brzmią głosów

O kroplę ochłody i promień z niebiosów —

Dopełnia cierpień się miara,
Schylają się czoła pod życia brzemieniem
Ku ziemi, w dusz próżniach, nad serca kamieniem
Zwątpienia snuje się mara!

Brzeżany.

R. S.

Konkurs

ogłoszony w maju b. r. nieprzyniósł spodziewanych rezultatów. Z 9 nadesłanych nowelek żadna nie uzyskała większości głosów w sądzie, który orzekał o kwalifikacjach prac do druku.

Nie chcąc odwoływać konkursu rozpoczniemy w następnym numerze druk tych prac, których sąd konkursowy nie odrzucił *a limine*.

Równocześnie przedłużamy termin nadsyłania prac aż po dzień 1. stycznia 1900 r.

Z warunków konkursu przypominamy:

Co do tematu nie ma żadnych ograniczeń.

O przyznaniu nagrody (30 K.) rozstrzygają czytelnicy „Teki”. Nazwiska autorów winne być podane w zamkniętej kopercie.

Redakcja.

Kronika.

Z Wielkopolski.

W sprawie rozporządzenia ministeryalnego z dnia 1 maja br., dotyczącego kar cielesnych w szkole, zabrał w dzienniku „Berliner Tagblatt” pewien tajny radca lekarski i profesor uniwersytetu głos, a pochwaliwszy postępowanie ministra, występującego przeciw nadmiernemu rozpowszechnieniu chłosty w szkole elementarnej, następujące robi uwagi o roli jaką bat odgrywa w szkołach średnich: „.... Tem więcej potępienia godnem jest częstotliwe bicie po gimnazyach, gdzie przecież ten sam się mieści materiał uczniów, jak w domach kadetów. A tu jednak obywa się bez tego rodzaju karności i metody strachu! Czemuż dzisiaj jeszcze policzkuje w tercyi, gdzie za moich czasów, gdy przemawiano do nas już na tym stopniu w trzeciej osobie (Sie), o biciu mowy nie było? Czy, jak twierdzą zwolennicy bicia, młodzież dzisiejszą pohopniejszą jest „do puszczania cugli podrzędnej swawoli” — o tem i rozprawić nie warto. W każdym razie postęp kulturny uczynił ją wrażliwszą

i czulszą na kary cielesne, zaczęm oszczędzać należy ich poczucie honoru, a nie przyzwyczajając do „grubej skóry.“ Szkoła ma wystarczające środki karne, ażeby dojść do poprawy, na pospolite wykroczenia; kary cielesne mogą tylko w nadzwyczajnych wypadkach wyjątkowe znaleźć zastosowanie.“

Nam do wyżej przytoczonych słów kilka wypadła dołączyć uwag : Taktyka, której się obecnie po gimnazyach hołduje, taktyka przypominająca więcej dom karny, lub poprawy aniżeli zakład wychowawczy, *nie zdoła przenigdy w uczniach wyrobić charakteru.* Już w najniższych klasach nauczyciel, który nie umie wykładem swym dzieci, pieczy swej powierzonych, zając, w braku daru opanowania młodzieńskich umysłów przewagą własnego umysłu, widzi, jak ziemia, którąby chciał użyźnić, z pod nóg mu się usuwa, jak traci mir i powagę. Kurczowo ściska swe berło, włada niem na oślep, wywija trzciną na wszystkie strony. Rzeczywiście dopnie może swego celu, nie jednakowoż celu, do którego prawdziwe wychowanie dążyć powinno: wzbudzaniem strachu panuje nad czeredą zafukanych, wylekniętych uczniów, pracujących zawsze i jedynie pod przymusem.

W wyższych klasach bat ustępuje innym, podobnym środkiem radykalnym, mającym na celu zakorzenienie owej słynnej „militärische Zucht und Ordnung.“ Władza szkolna z policyjną przezornością roztacza skrzydła opiekuńcze nie tylko nad uczniami zamieszkowymi, lecz i tych szpieguje, na których codzień oko rodzicielskie spoczywa. Nie dość, że w przesadny sposób okrawa się gimnazystom — często dorosłym już ludziom — czas, w którym im poza domem wolno przebywać, nie! zabrania im się przystępu do publicznych ogrodów (o lokalach publicznych już milczymy), zamyka im się wrota teatrów, — jedynie za łaskawem zezwoleniem ordynariusza, wolno przekroczyć progi przybytku muzy, bynajmniej nie podkasanej. Biada! jeśli gimnazysta ośmieli się na świeżem powietrzu wypić szklanke piwa, lub wypalić papierosa, chosiażby to było het, het za murami miasta. Co z tej taktyki policyjnej wynika? Nieposzanowanie władz i przepisów szkolnych chwilowo, a później? Potrzeba tylko spojrzeć poza kulisy życia prywatnego wielu akademików! I dziwić im się zbyt nie można: szkoła charakteru w nich nie wyrobiła. Nie dawno jeszcze na uwieży bezwzględnej, nagle poczują brak cugli, rozkielzani rzucają się w wir świata i wielu w nim ginie. To wynik obecnej metody szkolnej u nas. Zmiany chwilowo spodziewać się nie można, chyba na gorsze przez jeszcze większe obostrzenie panujących przepisów.

Maluczko, maluczko : a i w wyższych szkołach żeńskich niemiecka kultura zaprowadzi... różgi!

*

*

*

Według „Dziennika Kujawskiego“ wystosował burmistrz miasta Gniewkowa, p. Kowalski, jako kierownik tamtejszej policyi do właścicielki hotelu miejscowego, pani B., następujące pismo :

„Wzywa się panią, abyś usunęła ustawiony w sali do tańca portret narodowego polskiego poety, Adama Mickiewicza, i to w ciągu 8 dni.

„W razie, jeżeli Pani w tym czasie nie zastosuje się do powyższego rozporządzenia, grozimy karą w wysokości 10 marek, względnie jednego dnia aresztu.

„Kowalski.“

Trudno rozstrzygnąć, co tu przeważa, beczelność Niemca czy głupota.

*

*

*

Z Leszna donoszą „Dziennikowi Poznańskiemu“ :

Tutejsze prastare gimnazjum. powstałe z funduszków polskich (choć co do religii przeważnie kalwińskich) jako takie służyło przez długie lata pod względem naukowym. Kiedy następnie rząd przyjął takowe na swój etat, zastrzegli sobie ówcześni fundatorowie i ludzie wpływowi pewne prawa na wieczne czasy, a pomiędzy niemi i takie, iżby język polski z a w s z e w planie nauk był objęty. Ależ po dziś dzień wszystko się zmienia!

Przed kilkunastu laty zmieniono zarys i plan nauki języka polskiego z wielkim uszczerbkiem dla młodzieży tu się uczącej. Później znowu okrojono naukę języka polskiego; nawet sam naczelnik zakładu nie zakazywał wprawdzie brania udziału w nauce języka polskiego, ale odradzał, a w domu zalecał uczniom Polakom mówić tylko po niemiecku. Teraz nauka języka polskiego wcale nie bywa udzielana — jak tłumacza — z braku nauczycieli odpowiednich. Jednakże jest dwóch nauczycieli, władających językiem polskim, czemuż ci nie udzielają lekcji polskich? Aliści jeżeli chodzi o brak nauczycieli odpowiednich, to ta sprawa należy do władzy przełożonej, która powinna nauczycieli potrzebnych dobrać. Zapewne, że tu bractwo trzech liter wywiera swój wpływ zgubny.“

Powróćmy do tej sprawy po zaczerpnięciu bliższych wiadomości.

*

*

*

Wykrzyknik w polityce niepoślednią gra rolę : Ausrotten ! Auf nach Friedrichsrub ! Los von Rom ! A teraz : Auf nach Prag !

Tak zaczyna się odezwa, którą do kologów, kształcących się po uniwersytetach państwa niemieckiego, wystosowali „die reichs-dentchen Studenten Prags“. Hasło to wzywa młodzież akademicką, aby hurmem spieszyła do Pragi ratować miasto „niemieckie“ przed grożącym niebezpieczeństwem ze strony Czechów „Przybywajcie, przybywajcie! Oto w was cała nasza nadzieja! Jeśli nas zawiedziecie, runie twierdza niemiecka, otwierająca przystęp do Wiednia!“ — Tak wołają burszowie z nad Wełtawy lubieżnym wzrokiem spoglądając na Kraków, bo „i on był niegdyś miastem niemieckiem.“ Licznymi sposobami starają się przynęcić kologów do Pragi, szczególnie zwracając uwagę na taniość... piwa.

W takim razie sukces chyba już zapewniony!

*

*

*

„Towarzystwo polskie rolniczo-gospodarcze, imienia Króla Chłopków, Kazimierza Wielkiego“ w Paranie (Sao Matheus. Estado Parana Brasil. Sul America nr. 61). nadesłało do lw. Czytelni ak. pismo wyrażające uznanie młodzieży uniwersytetu lwowskiego za inicjatywę w zbieraniu składek na studentów relegowanych z Warszawy. List (z datą 19 lipca 1899 r) przytaczamy w dosłownem brzmieniu opuszczając jedynie ustęp końcowy, jako dotyczący się drobnego sporu z „Gazetą handlowo-geograficzną.“ Z listu tego poznać można, że jak żywem i gorącym zajęciem śledzą rodacy nasi z „Nowej polski“ wszystkie sprawy „starego kraju“; informacje ich i sądy są nieraz błędne, ale szczerą jest miłość do Polski i troska o jej losy.

„Czcigodni i Kochani Przyjaciele! Niewypowiedzianie uradowaliśmy się, przeczytawszy w północno-amerykańskich gazetach odezwę studentów Lwowskiego Uniwersytetu względem przyjęcia do tego Uniwersytetu wykluczonych przez moskalów studentów z Warszawskiego Uniwersytetu.

„Przyklaskujemy i winszujemy Wam w Imieniu wszystkich Członków Towarzystwa za ten patryotyczny postępek tem bardziej, że takowy został zainicjowany we Lwowie osławionym z powodu bardzo nie patryotycznych, żeby nie powiedzieć gorzej, chociaż autonomicznych czysto-polskich (może szlacheckich Red.) rządów, a także tem bardziej, że ucząca się młodzież świątobliwego Krakowa, jakeśmy w zeszłym roku naocznie (się) przekonali, zwyrodniała do szczytu czołgając się przed mundurami na których wiszą moskiewskie ordery! (zjazd dziennikarzy słowiańskich — Komarów. Red.)

„Martwimy się mocno w niecierpliwem oczekiwaniu, kiedy Bóg wzbudzi takich patryotów, którzyby oczyścili polską ziemię od podobnych wyrodków we wszystkich sferach autonomicznego rządu, lecz widać jeszcze daleko do tego, gdyż dzisiejsze gazety przyniosły wiadomości, że na miejsce ustępującego prezydenta Krakowa dra-pieżnego krzyżaka (p. Friedlein Red.) ma być obranym wnuk Tar-gowickiego zdrajcy — magnat, który okradł swego służącego (hr. Andrzej Potocki Red.) !!!

„Szkoda, mocno żałujemy, że nikt z Was nie może tu przy-jechać i sprawdzić na ile tutejsze stosunki wśród Polaków, warunki klimatyczne i stanowisko rządu tutejszego zgadza się z opisami p. p. doktora Kłobukowskiego i profesora Siemiradzkiego, dlaczego 60 tysięcy Niemców mają tutaj swoje wojsko, gubernatorów; sądy, deputowanych do kongresu; fabryki; parostatki; kościoły; księży itd. itd., a 180 tysięcy Polaków mają warchotów, dwoje i troje-żeńców, oszustów, pijaków, złodziejów, dzieciobójców i rozbój-ników... (Nieuzasadniony pesymizm. Red.)

*

*

*

Z prasy *Słowo polskie* poparło myśl dobrowolnego opodatkowania uczniów szkół średnich na rzecz gimnazjum cieszyńskiego, a *Kurier lwowski* zalecił gorąco młodzieży pracę nad ludem w czasie wa-kacyi (nr. 10. Teki). — Artykuł p. t. „Szkoła“ był przedrukowany w *Dzienniku polskim*, tndzież w *Gazecie polskiej* czernowieckiej, która pomieściła kolejno również art. „Sen i marzenia senne“ i nowelki „Książd Płozek“, Kuba dzwonnik, „W pasie granicznym“, „Matula“, „Bez celu“ i wiersze Z. Dębickiego. „Kubę dzwonnika“ znajdujemy w ostatnim numerze *Pola'a*. — Amerykański *Sztandar* streścił nasz art. „Fizyczne wychowanie młodzieży“ i powtórzył art. „Gdzie droga“, oraz wiersze „W przededniu sprowadzenia zwłok Słowackiego i Chopina“ i „Na strunach duszy“.

*

*

*

Z listu nadesłanego redakcyi z ks. poznańskiego wyjmujemy kilka ustępów: „Nareszcie znaleźliśmy pismo, które nie obarczając mło-dych umysłów niepotrzebnym balastem wskazuje im drogę, jaką kroczyć powinny, by zadość uczynić obowiązkom względem ojczyzny „Teką“ ukazała się właśnie, kiedy młodzież nasza zbudzona z chwilowego odrętwienia z zamięłowaniem garnie się do pracy. Brak nam tylko było organu, w którym moglibyśmy dzielić się z braćmi naszymi smutkiem i radością, nieodstępnymi towarzyszami przy pierwszej pracy na niwie narodowej... Bo „Teką“ otwiera

nam nowe pole pracy, nam stęsknionym i spragnionym czynu, a nie tylko krępowanym na każdym kroku brutalną siłą „Najukochańszych“, lecz usuwanym od starszej braci od wszystkiego, co nie należy do ciasnego programu, nakreślonego dla nas przez zguby naszej pragnącej władzę. Lecz nieustraszą nas żadne przeciwności, owszem to najlepszy bodziec pchający nas do czynu, bo im większy ucisk, tem głębiej odczuwamy potrzebę czuwania nad samym sobą, by nie złapać się w przez wroga na nas zastawione sidła. Pomni na słowa nieśmiertego. Adama „i ten szczęśliwy, kto padł śród zawodu, jeśli poległ ciałem dał innym szczebel do sławy grodu“ ni mienia ni życia szczędzić nie będziemy, chętnie złożymy wszystko na ołtarzu znękaney wiekową niedolę Matki. Wiemy, że walczyć musimy z owym „gadem“, co „wiecznie głodny“ wszystkimi siłami dąży do tego, aby od zarania młodości naszej zabić w nas to, co nam najświętszem być winno, ale spokojnie w przyszłość patrzymy, bo wiemy także, iż nie nas nie pokona, jeśli w zwartym szeregu pełni gorącej miłości do ojczyzny śmiało stawimy czoło nieprzyjacielowi. A z radością zaznaczyć muszę, iż i u nas coraz więcej takich, którzy wolą raczej żłazo rozpalone w dłoni, niżli Krzyżacką prawicę uściskać. Dlatego też święcie wierzymy, że znowu zaświeci nam gwiazda wolności, że uwolniony z więzów białopióry orzeł wzniesie się znowu dumnie nad wolną równą, niepodległą ojczyzną naszą.

L.

*

*

*

Na gimnazjum polskie w Cieszyńcu. J. F. Drzewski z Drohobycza zebrane wśród kolegów 50 ct. Z Odessy 1 złr. Z. S. ze Lwowa książki szkolne z III. klasy gimn. M. Wroński 7 złr. p. J. S. powieści z bibl. dzieł wyb.

Pieniądze składamy na kwitaryusz Czytelni Ak.; książki odsyłamy wprost do Cieszyńca.

W redakcyi „Słowa polskiego“: Uczniowie gimn. brzeżańskiego 9 zł. VIII. kl. gimn. pierwszego w Przemyśle 5 zł.

